

Przeciwko patosowi.

Andrzej Munk

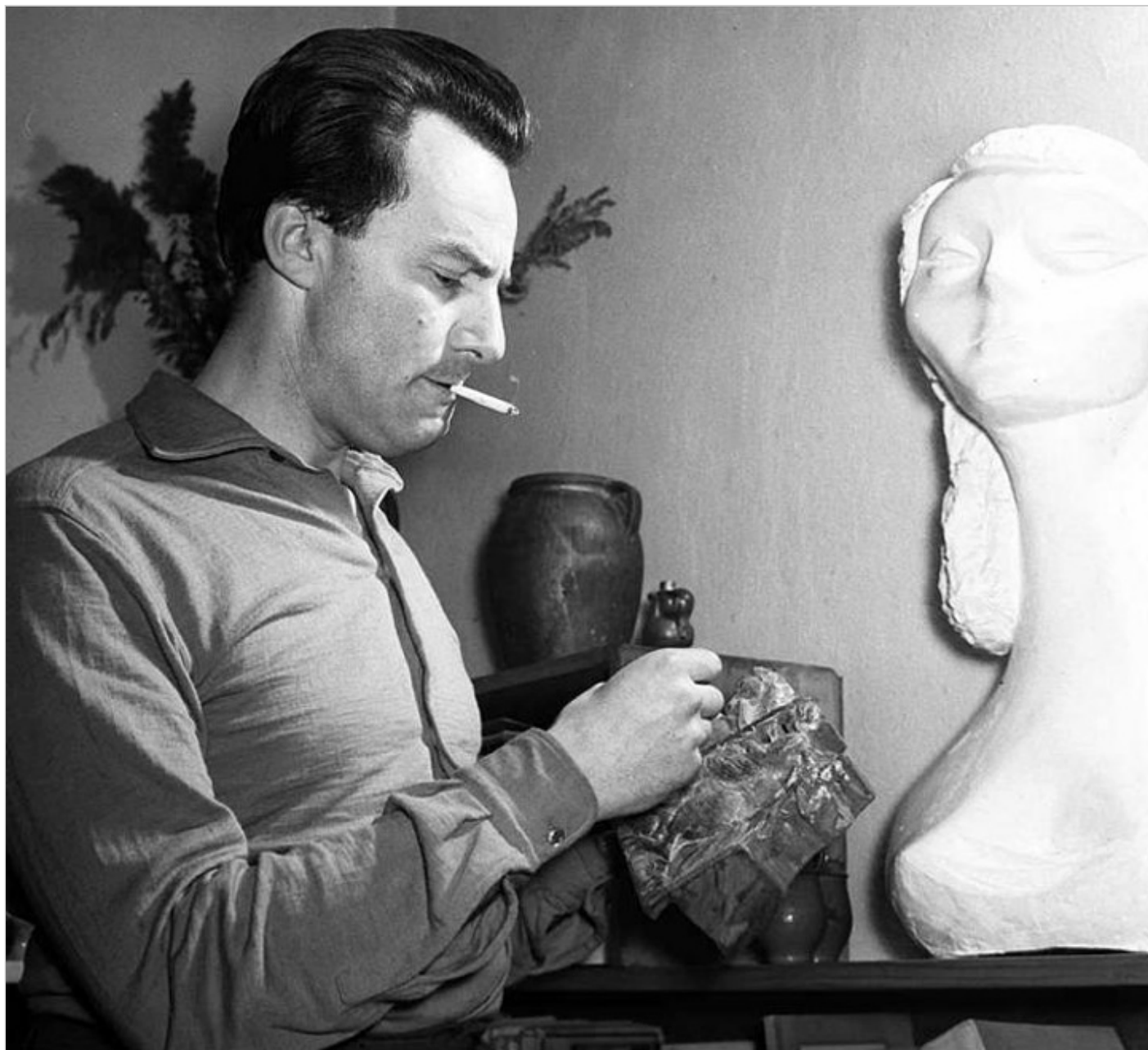
(1921-1961).

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Andrzej Munk urodził się w Krakowie, ale do dziś nie wiadomo z całą pewnością kiedy, ponieważ w różnych dokumentach on sam podawał różne daty. Przyjmuje się, że był to 16 października 1921 r. W czerwcu 1939 roku ukończył Gimnazjum w Krakowie. W czasie wojny trafił do Warszawy. Walczył w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie pracował w różnych miejscach, jako technik budowlany, robotnik w Monopolu Tytoniowym w Mogile, dozorca kolejki na Kasprowy Wierch. Swoją edukację rozpoczął od studiów na wydziale architektury Politechniki Warszawskiej i prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Zmienił jednak swoje zainteresowania i w 1951 roku ukończył Państwową Wyższą Szkołę Filmową w Łodzi, wydział operatorski, a następnie reżyserski. W latach 1948-52 był członkiem PZPR. W 1952 r.

został z niej usunięty za zachowanie „niegodne członka partii”. W latach 1950-55 pracował w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, najpierw jako operator Polskiej Kroniki Filmowej, potem jako reżyser filmów dokumentalnych. W 1959 r. otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. W latach 1957-61 był wykładowcą w łódzkiej szkole filmowej.

Zginął w wypadku samochodowym, 20 września 1961 r. Od 1965 r. łódzka PWSFTViT przyznaje nagrodę jego imienia dla najlepszego debiutanta roku.



Andrzej Munk, fot. film.org.pl

Tragiczny wypadek zdarzył się pod Łowiczem. Andrzej Munk jechał Fiatem 600 z Krakowa przez Łódź do Warszawy. Podobno był złym, nieuważnym kierowcą, czasami siadał za kierownicą po alkoholu. Ale nie to było przyczyną wypadku. Na skrzyżowaniu w kształcie litery „T” zatrzymał się kierowca Stara 20. Jadł pestki

od słonecznika, nazbierały mu się łupiny, stanął na chwilę, wyrzucił i nie patrząc w bok ruszył dalej. Nie zauważył „malucha” i uderzył w bok od strony kierowcy. Samochód Andrzeja Munka przekoziółkował, reżyser trafił do szpitala w Łowiczu. Był przytomny, rozmawiał z żoną i przyjaciółmi. Nikomu wtedy nie przyszło do głowy, że za kilka godzin nie będzie żył.

Koledzy, przyjaciele i współpracownicy pamiętają go, jako człowieka obdarzonego wyjątkową charyzmą, ale też trudnego w kontaktach, pełnego niepokojów i sprzeczności. Raz prowadził bujne życie towarzyskie, smakował je, delektując się każdą niemal chwilą, bawił się, przebierał np. za własnego brata, którego nie miał, a innym razem wpadał w ciężkie psychiczne zapaści, izolował się, pił przez dwa-trzy tygodnie.

Scenarzysta Jerzy Zawieyski opowiadał potem o współpracy z reżyserem:

Rozmowy z Munkiem były trudne, jakby się błędziło wśród ciemności. Było tak dlatego, że Munk z wysiłkiem formułował swoje myśli, niepewny ani siebie, ani tematu, który rozwijał. Śmiem twierdzić, że w większym stopniu, niż zdarza się to u każdego artysty, pożerał go demon wątplenia. Popadał często w depresje, z której wydobywał

się z trudem. Łamał się w sobie, trapiiony przez nadmierną autokrytykę i wyczułone sumienie artystyczne.

Inaczej go pamięta Andrzej Krakowski syn dyrektora zespołu filmowego „Kamera”:

Był człowiekiem niezwykle spokojnym, ciepłym. Być może przeżycia wojenne o tym zdecydowały, powracające pytanie, „dlaczego właśnie ja przeżyłem – dlaczego akurat ja”. Potrafił usiąść i nagle zamyślić się – odpłynąć. Mówił wolno. Ale potrafił być też energiczny. Był lekko zezowaty, czego nie widać na zdjęciach, szatyn. Kiedy go poznałem, był młody. Jego żona Joanna wyglądała jak Madonna. Miała piękne, długie, ciemne kasztanowe włosy i ascetyczną twarz. Bił od niej niesamowity spokój.



Andrzej Munk, fot. Filmoteka Narodowa.

Andrzej Munk należał do grupy młodych reżyserów tworzących w zespole filmowym KAMERA. W tym zespole powstały pierwsze filmy Andrzeja Wajdy, Jerzego Skolimowskiego, Romana Polańskiego, Wojciecha Hasa, Bohdana Poręby, Jakuba Morgernsterna. Powstały wówczas tak wybitne filmy, jak *Pokolenie*, *Kanał*, *Popiół i diament* Wajdy, *Baza ludzi umarłych* (wg opowiadania Marka Hłaski) Petelskiego czy *Nóż w wodzie* Polańskiego. To powojenne pokolenie młodych reżyserów wykreowało nurt w polskim kinie, który z całą siłą ujawnił się dopiero po 1956 r. Wojenne rozrachunki z punktu widzenia

jednostki, różne motywy działania i różne racje to główna tematyka filmowa tego okresu. Podejmowanie polemiki z mitem bohaterstwa, to rys charakterystyczny nowego polskiego kina.

Filmowcy wtedy byli małą, bardzo ekskluzywną grupą ludzi – wspomina Andrzej Krakowski. – Każdy czuł się półbogiem, nawet jak był asystentem reżysera. Tego uczono chyba w szkole filmowej. Każdy z nich miał poczucie misji, bo było to pokolenie, które przeżyło wojnę. Ci ludzie przeszli straszliwe zawirowania. Być może dlatego ich poszukiwania twórcze były dużo głębsze i prawdziwsze niż ich następców. Poczucie misji, jaką mieli do spełnienia, było na pewno dużo silniejsze niż wśród późniejszego pokolenia, które zrobiło się szalenie komercyjne. W gruncie rzeczy dzisiaj liczą się tylko pieniądze. Ocena filmu jest wyłącznie oparta na tym, ile zarobił. Lata formowania się pod okupacją, ukrywania się, udawania kogoś innego, życia cudzym życiem, to musiało szalenie zaważyć na nich wszystkich.

Andrzej Munk na początku swojej kariery realizował fabularyzowane reportaże. (*Niedzielny poranek*, 1955, nagrody w Edynburgu i Mannheim. *Spacerek staromiejski*, 1958, nagrody w Wenecji i Oberhausen i in.). W 1955 r. powstał pierwszy film fabularny “Błękitny krzyż” (nagrody w Wenecji i Trento), w 1957 r. “Człowiek na torze” (nagroda w Karlowych Warach, Syrena

Warszawska), w 1958 r. "Eroica" (Grand Prix i Nagroda FIPRESCI w Mar del Plata, Syrena Warszawska), w 1960 r. "Zezowate szczęście", w 1961 r. nie ukończona "Pasażerka" (nagroda FIPRESCI w Cannes, Nagroda Stowarzyszenia Dziennikarzy Włoskich w Wenecji, Syrena Warszawska).

Reżyser w epoce, w której przyszło mu żyć i tworzyć, każdy wycinek historii i każde ludzkie działanie poddawał osądowi, patrzył na elementy filmowej fabuły z różnych punktów widzenia. Stąd dramaturgię jego filmów określono dramaturgią sądowej rozprawy. Zderzenie odmiennych wersji tych samych wydarzeń, różne sposoby pojmowania heroizmu, łączenie komizmu i tragizmu, łamanie różnych konwencji, poddawanie bohaterów różnego rodzaju próbom, to stałe elementy jego filmów.

Moim zdaniem – pisał w roku 1959 – dramaturgia kina współczesnego zmierzać winna w kierunku pogłębiania tematu dzieła, nasycania go jednostkowymi obserwacjami, tak by stworzone w ten sposób wartości intelektualne mogły zastąpić reguły kompozycyjne dramaturgii klasycznej.

Na gruncie polskiego kina pełnego symboliki i metafor, był to program nowatorski. W filmach Munka nie ornamentyka lecz sama filmowa struktura odgrywała największą rolę. Jego filmowy

język był niezwykle oszczędny i powściągliwy w pokazywaniu emocji. Najczęściej posługiwał się długimi ujęciami i stosował wielopłaszczyznową narrację. Unikał symboli. Twierdził, że nie chce manipulować uczuciami widowni, tylko chce pozostawić jej wolność wyboru. W 1959 roku napisał: "Jeśli film nie pozostawi śladu w umyśle, jest dziełem bezwartościowym".

W tych kilku filmach, które zrealizował widać było jego rozwój, dostrzeganie ciągle nowych elementów rzeczywistości. Przerwanej "Pasażerki" nikt nie chciał dokończyć, obawiano się, że nie uda się odtworzyć tego niepowtarzalnego, niedopowiedzianego, oszczędnego w środkach klimatu.

Parę osób się za dokończenie zabierało – wspomina Andrzej Krakowski. – Najpierw Andrzej Brzozowski, który był drugim reżyserem, ale minister się nie zgodził, bo Andrzej nie miał debiutu. Potem za *Pasażerkę* wziął się Wajda, ale zrezygnował. Następnie miał ją robić Skolimowski; też nie. Odbyły się rozmowy z Konwickim – też nie. I w końcu film ukończył Witek Lesiewicz – jedyna osoba, która powinna to zrobić, najbliższy przyjaciel. On to zrobił praktycznie tak, jakby Andrzej to zrobił. Jest dużo stop-klatek – zatrzymanych zdjęć w tym filmie, bo materiał został niemiłosiernie posiekany przez tych, którzy mieli go skończyć. Każdy, kto się zabierał za pracę, robił nową wersję, przycinał, przycinał,

aż nie było już z czego montować.

Pasażerka była bardzo trudnym filmem do zrealizowania – wspomina dalej syn dyrektora zespołu “Kamera” . – Trudne do załatwienia było to, że akcja dzieje się na statku. Ekipa musiała popłynąć Batorym – do Leningradu. Trzeba było wszystkich zakwaterować, dostać pozwolenia na wyjazd i jeszcze Rosjan przekonać, żeby ich wpuścili. A Rosjanie bali się kamer! Pamiętajmy, że to był początek lat sześćdziesiątych.

Mój ojciec miał bogatą przeszłość polityczną, do filmu przyszedł po reformie polskiej kinematografii w 1957 roku, kiedy wyszedł z rządu. Ale wcześniej przez parę miesięcy siedział w celi z Gomułką. I teraz był jedynym polskim producentem, który mógł do Gomułki zadzwonić i powiedzieć: „Wiesław, ja chcę, żeby ten film przepchnąć”.

Filmy Andrzeja Munka przeszły do historii polskiej kinematografii, reżyser nakreślił w nich inne niż dotychczasowe spojrzenie na wojenną i powojenną rzeczywistość, podjął się dyskusji na temat wartości, człowieczeństwa, zrewidował narodowe symbole. Rzucił na szalę życie i piękno idei. Mimo niewielkiego dorobku filmowego, przerwanego tragicznym wypadkiem, krytycy filmowi zaliczają go do grona wybitnych

reżyserów swojej epoki, współtworzącego powojenne europejskie kino.



Andrzej Munk, fot. Studio Filmowe KADR.

FILMY:

“Błękitny krzyż” to film paradokumentalny, rekonstruujący

akcję GOPR, niosącego pomoc partyzantom podczas wojny. Na początku filmu pojawia się tekst: „Historia tej wyprawy jest historią prawdziwą. Drobne zmiany, jakie autorzy wprowadzili w tok opowiadania, nie zmieniają w niczym istotnym jego biegu ani sensu. Wśród postaci występujących w filmie spotykamy autentycznych bohaterów owego zdarzenia. Im właśnie autorzy poświęcają ten film – górskim partyzantom lat wojny i Ratownikom Tatrzańskiemu Ochotniczemu Pogotowia Ratunkowego – ludziom Błękitnego Krzyża”.

W filmie wystąpili uczestnicy historycznej akcji. Zimą 1945 roku do ukrytego w górach partyzanckiego szpitala przedostają się ratownicy zakopiańskiego pogotowia górskiego i dokonują bohaterskiego wyczynu przeniesienia rannych i chorych ludzi przez dwa łańcuchy górskie i przez linie niemieckich posterunków.

”Człowiek na torze” to dramat psychologiczny. Jest historią doświadczanego maszynisty, usuniętego z pracy pod urojonym zarzutem sabotowania nowych metod pracy. Komisja ma zbadać przyczyny tragicznego wypadku: pod koła pociągu dostał się stary maszynista Orzechowski. Najpierw zeznaje zawiadowca stacji, Tuszka – człowiek bezwzględny, który starał się wprowadzić nowe metody pracy i drastyczną oszczędność paliwa. Orzechowski nie chciał się temu podporządkować. W końcu zawiadowca zwolnił Orzechowskiego z pracy, teraz zaś

sugeruje, że stary przedwojenny maszynista był wrogiem i sabotażystą. Zgasił światło w semaforze, bo chciał wykoleić pociąg. Zeznania młodego Zapory, który prowadził ów pociąg, a uprzednio był pomocnikiem Orzechowskiego, zaprzeczają temu. Orzechowski był bardzo wymagającym, trudnym we współżyciu, ale świetnym fachowcem i uczciwym człowiekiem. Okazuje się jednak, że światło zgasło, ponieważ dróżnik Sałata -pijak i krętacz – nie nalał nafty do jednej z lamp. Orzechowski, który to zauważył, a wiedział, że na torze trwają roboty, nie widząc innego wyjścia rzucił się pod koła, by ratować załogę i pasażerów.

“Eroica. Symfonia bohaterska w dwóch częściach” jest filmem o mitologizowaniu wojennej przeszłości. Składa się z dwóch luźno ze sobą związanych tematycznie nowel. Część pierwsza opowiada o warszawskim cwaniaku Dzidziusiu, który przypadkowo wciągnięty w Powstanie Warszawskie zdobywa się na czyn bohaterski, choć właściwie niepotrzebny. Akcja drugiego opowiadania rozgrywa się w niemieckim obozie i po raz pierwszy przedstawiono w niej życie polskich oficerów w obozie jenieckim w czasie ostatniej wojny. Do legendy urasta tu ucieczka por. Zawistowskiego. Tylko najbardziej wtajemniczeni wiedzą, że cały czas jest on w obozie – ukryty w przewodzie wentylacyjnym. Mimo starań i opieki kolegów bohater umiera – z zimna i samotności. A wszystko po to, by zachować legendę, która podtrzymywała na duchu wszystkich stłoczonych w obozie

żołnierzy.

Munk zapożyczył tytuł filmu od III Symfonii Es-dur Ludwiga van Beethovena. Beethovenowska „Eroica” składa się z trzech części. Pierwotnie Munk swoją filmową „Eroicę” również chciał zbudować z trzech, luźno ze sobą związanych części. Pierwszej części, już po zmontowaniu, Munk nie włączył do całości filmu. Uznał ją za nieudaną artystycznie. Ostatecznie więc podtytuł „Eroiki” brzmi „Symfonia bohaterska w dwóch częściach”.

„Zezowate szczęście” to pełna ironii komedia.

„...powoli zaczynam rozumieć impulsy, które kierowały moim postępowaniem. Otóż chyba zawsze usiłowałem, całkiem nieświadomie, przystroić się w szaty uznanego przez opinię bohatera danego historycznego okresu. W życiu dziecka był nim harcerz, później podchorąży, wreszcie konspirator... Wszystkie te etapy przebiegłem w bezowocnej pogoni za życiowym powodzeniem. Czy mogłem przypuszczać, że wszędzie czeka mnie nieuchronna klęska?...” – tak podsumował swoje pechowe życie główny bohater opowiadania Jerzego Stefana Stawińskiego „Sześć wcieleń Jana Piszczyka”. Nowela ta stała się kanwą scenariusza do „Zezowatego szczęścia”. Film ten jest udanym połączeniem różnych stylów i poetyk. Krytycy znaleźli w dziele Munka zjadliwą ironię, groteskę, elementy czysto komediowe i dramatyczne oraz cechy powiastki filozoficznej. W warstwie

fabularnej film Munka stanowi studium postawy obecnej w każdej epoce i w każdym społeczeństwie. „Zezowate szczęście” opowiada w groteskowo – karykaturalnym ujęciu losy pechowca, który – w różnych warunkach na przestrzeni dwudziestu lat – usiłuje przypodobać się aktualnym władzom. Wszelkie te próby „dobrze widzianych” metamorfoz kończą się fiaskiem: Piszczyk pozostaje antybohaterem – kolejnych bezkrytycznych „przemian” dokonuje zawsze za późno. Piszczyk chce za wszelką cenę dostosować się do wymagań aktualnej sytuacji politycznej, lecz z różnych powodów mu się to nie udaje. Pragnie być wzorowym harcerzem, ale kompromituje się na defiladzie. We wrześniu 1939 roku przymierza wymarzony mundur podchorążego i w nim trafia do oflagu, gdzie po pewnym czasie zostaje zdemaskowany i uznany za szpiega. Podobny los czeka go w organizacji podziemnej. Po wojnie robi oszałamiającą karierę, wcielając w życie, dosłownie i bezmyślnie, aktualne hasła i zarządzenia. Jest mistrzem sprawozdawczości, wzorem służalczego biurokraty. Ale antypaństwowe zdanie wypisane w ubikacji jego charakterem pisma strąca go z piedestału. Piszczyk trafia do więzienia, z którego, doświadczony boleśnie i zrezygnowany, nie chce zresztą wyjść na wolność.

“Pasażerka” – to psychologiczny film wojenny. Akcja filmu rozgrywa się na dwóch płaszczyznach czasowych: współcześnie i – w obszernych partiach retrospektywnych – podczas wojny, w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Śmierć reżysera

przerwała zdjęcia. Munk zdążył zrealizować tylko tę drugą, retrospektywną część, a właściwie zbiór scen, które miały być przeplecione z partiami rozgrywającymi się współcześnie na pokładzie transatlantyckiego statku pasażerskiego. Po śmierci Munka żaden z jego kolegów nie zdecydował się dokończyć za niego dzieła. Podjęto natomiast próbę scalenia, powiązania gotowych już fragmentów w jednorodną całość. Zadanie to wykonał bliski współpracownik Munka, Witold Lesiewicz. Komentarz objaśniający zamysł całości przygotował Wiktor Woroszyński. Film wszedł na ekrany w 1963 r., budząc duże zainteresowanie. Do dziś „Pasażerka” pozostaje najbardziej chyba znanym poza granicami kraju i najwyżej cenionym filmem tego twórcy. Przedstawiony w filmie świat obozów koncentracyjnych, a co za tym idzie spojrzenie na faszyzm, jest w całości dziełem Munka: zarysowany oszczędnymi środkami, pozbawiony scen szczególnie jaskrawych, szokujących okrucieństwem. Reżyser przypisuje zbrodnię raczej systemowi hitlerowskiemu niż intencjom jednostek. Dziwny i niejednoznaczny w jego ujęciu jest także związek między bohaterkami – esesmanką Lizą i jej krnąbrną pupilką Martą. Wyjaśnienie mogła zapewne przynieść część współczesna: konfrontacja kata i ofiary po latach, ale ta część nie zdążyła już powstać. W tłumie turystów wypełniających pokład transatlantyckiego statku znajduje się niemieckie małżeństwo, Walter i Liza. Oboje niewiele wiedzą o swej przeszłości, ale tworzą harmonijny związek. W jednym z portów, do których

zawijają podczas rejsu, na statek wsiada kobieta, która przypomina Lizie kogoś, kogo poznała przed laty, służąc w kobiecych formacjach SS w Oświęcimiu. Falą wspomnień wraca do Lizy obozowa przeszłość, a wraz z nią pamięć o jednej z więźniarek, na której Liza wypróbowywała esesmańskie metody „wychowawcze”. Ale Marta, bo tak nazywała się więźniarka, nie dała się złamać. Wydawało się, że zginęła.

“**Ostatnie zdjęcie**” Andrzeja Brzozowskiego to film o realizacji oświęcimskich obrazów “Pasażerki”.

Polscy artyści w Ottawie z okazji 150-lecia Kanady

Katarzyna Szrodt



Ambasada Rzeczypospolitej
Polskiej w Ottawie.

W związku z obchodami 150-lecia Kanady, ambasada RP w Ottawie zaprosiła polskich malarzy mieszkających w Montrealu, zrzeszonych w Polish Artists Association of Canada (PAAC) i artystów z Ottawy, do wzięcia udziału w wystawie „Poland for Canada with Love. Polish Canadian Artists Exhibition”. Było to jedno z wielu wydarzeń artystyczno-wystawienniczych przygotowanych przez ambasadę RP, ku czci Kanady. Ze strony ambasady organizacją zajęła się Daria Podemska, ja zaś koordynowałam sprawy montrealskie.

13 czerwca w jasnym, przestronnym wnętrzu International Pavilion, oryginalnie łączącym szkło, drewno i cegłę, odbył się wernisaż wystawy, w której wzięło w sumie udział szesnastu artystów malarzy. Z Montrealu byli to: Joanna Abrahamowicz, Jan Delikat, Dorota Dyląg, Joanna Chełkowska, Piotr Królikowski, Janusz Migacz, Mariola Nykiel, Joanna Pienkowski, Andrzej Andre Pijet, Mira Reiss, Jolanta i Zbigniew Sokalscy.

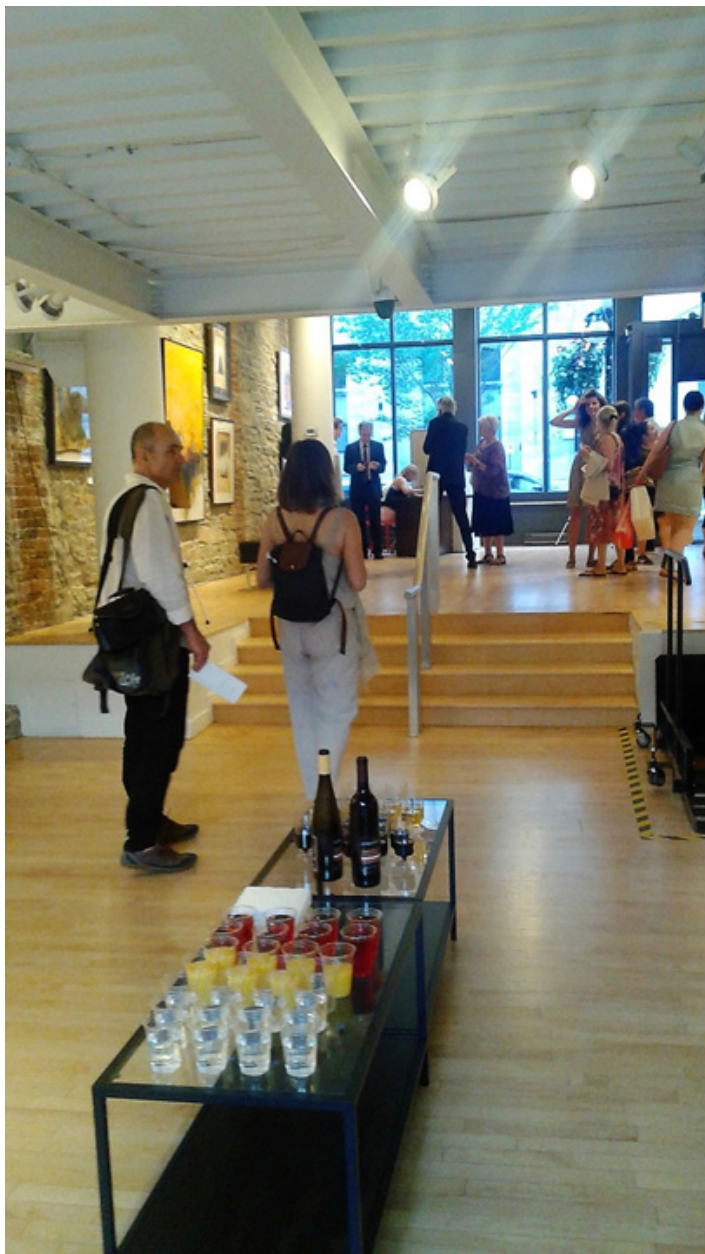
Ze strony mieszkających w Ottawie Polaków zobaczyliśmy prace: Anny Luczak-Romaszewskiej, Wojciecha Kulikowskiego, Antoniego Romaszewskiego, Darii Podemskiej i Dominika Sokolowskiego. Wystawę cechowała różnorodność tematów, gatunków i technik: oleje, akwarele, rysunek, od abstrakcji, przez impresjonistyczny pejzaż miejski, po surrealizm i ekspresjonizm. Artyści na różne sposoby interpretują rzeczywistość, są na nią wrażliwi, dokonują jej syntezy zapraszając odbiorcę do dialogu. Prace nieżyjącego już Antoniego Romaszewskiego to przekaz intelektualny wymagający od widza interpretacji znaków i symboli. Jolanta Sokalska w sposób mistrzowski tworzy swoje szklane obrazy łącząc szkło z metalem, drewnem, tkaniną. Surrealistyczne malarstwo Miry Reiss opowiada zawsze jakieś historie wciągając nas do toczących się na obrazie wydarzeń, podobnie jak twórczość Doroty Dyląg głęboko ekspresjonistyczna i magiczna zarazem. Nad każdym z obrazów należałoby się pochylić i „wysłuchać”.

Najważniejszym wydaje się fakt, że znów polscy artyści tworzący w Kanadzie mieli szansę spotkać się na wystawie zbiorowej, skonfrontować swoje doświadczenia, porozmawiać, przygotować się do następnego wspólnego pokazu. Pod koniec października 2017 roku, w centrum polonijnym w Jolicoeur w Montrealu PAAC planuje dużą wystawę. I teraz to jest najważniejsze.

Galeria zdjęć



The International Pavilion w Ottawie, gdzie miała miejsce wystawa.



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Katarzyna Szrodt (z prawej) przed The International Pavilion w Ottawie, gdzie miała miejsce wystawa, fot, arch. autorki.



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Wystawa prac polskich artystów w
Ottawie, fot. arch. autorki,



Katarzyna Szrodt podczas otwarcia
wystawy pac polskich artystów w Ottawie,

fot. arch. autorki.



Wystawa prac polskich artystów w
Ottawie, fot. arch. autorki,



Prace polskich artystów na wystawie w Ottawie, fot. arch.
autorki.



Prace polskich artystów na wystawie w Ottawie, fot. arch.
autorki.

Z zawadzkiego pod Walencję

22 czerwca 2017 r. Miejska Biblioteka Publiczna im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach gościła wyjątkowego człowieka: wybitnego polskiego pisarza, członka Związku Literatów Polskich, byłego pracownika BBC i Radia Wolna Europa, Honorowego Obywatela Miasta Tarnowskie Góry - Piotra Guzego. Na spotkanie ze znakomitym Gościem przybyły tłumy czytelników; nie zabrakło przedstawicieli władz miasta, instytucji kultury, prasy, a także najbliższej rodziny, nadal mieszkającej w Tarnowskich Górach.



Książki Piotra Guzega, fot. Pola Vesper.

Florian Śmieja

W zawadzkim w powiecie opolskim urodził się Piotr Guzy, syn powstańca śląskiego Juliusza. Na skutek podziału Górnego Śląska, po plebiscycie, jego rodzina schroniła się w przypadających Polsce Tarnowskich Górach. Po szkole powszechnej zapisał się do gimnazjum i liceum im. księcia Jana Opolskiego, dziś niepotrzebnie przemianowanego na Stanisława Staszica. Wojna wybuchła na rok przed maturą, tak że młody alumn z formacją przysposobienia wojskowego pomaszerował na

wschód, by w Rumunii skończyć w internowaniu. Stamtąd zbiegł do Francji do wojska polskiego, a następnie do Wielkiej Brytanii. Z I Dywizją gen. Stanisława Maczka wziął udział w inwazji Europy, a po zwolnieniu z wojska, na uniwersytecie londyńskim zaczął studia ekonomiczne. Nie skończywszy ich wrócił z angielską żoną i synem do Polski w 1949 roku. Magisterium z ekonomii uzyskał w Poznaniu i przez pewien czas pracował w „Tygodniku Zachodnim”.

Nękanym i inwigilowanym przez bezpiekę przez Berlin Wschodni uciekł z powrotem do Anglii w 1957. Zaczął pracować w BBC a potem w Wolnej Europie w Monachium.



„Krótki żywot bohatera pozytywnego”, fot. Pola Vesper.

Kiedy w 1966 opublikował „Krótki żywot bohatera pozytywnego” w paryskiej „Kulturze” powitał go entuzjastycznie Gustaw Herling-Grudziński słowami

Jest to jedna z najwybitniejszych książek polskich, jakie się

ukazały ostatnio w kraju i na emigracji. Witam w panu nowego pisarza o wielkim talencie.

A Wacław Grubiński wtórował w Londynie:

Niepospolity talent literacki Piotra Guzego widzę w tym, że umiał w słowach prostych, prostackich, umyślnie ordynarnych ...wszczepić żywy puls szczutego człowieka, jego strach, jego bunt i jego rozpacz.

Po przejściu na emeryturę Guzy osiadł w Hiszpanii pod Walencją. Odwiedził Śląsk, a Tarnowskie Góry nadały mu honorowe obywatelstwo. Pisarz tak to skwitował:

Tarnowskie Góry uczyniły mnie tym, kim teraz jestem, były zaczyneń tego, czym później zostałem, w najbardziej istotny sposób dały mi miejsce startu do mojej przyszłej pisarskiej drogi.

Zaczął życie literackie w fatalnym okresie. Ostre dyrektywy partii podporządkowały sobie większość pisarzy polskich. Guzy myślał, że pisząc popularne dreszczowce uniknie kontroli władz. Napisał książkę o tzw. sprawie Bergu. Przyjęło ją do druku

Ministerstwo Obrony Narodowej. Zanim się ukazała, do Poznania przyjechał Kazimierz Koźniewski i w hotelu „Bazar” razem z autorem sprawdzał strona po stronie cały tekst, by był politycznie poprawny. Kiedy Guzy protestował, usłyszał reprimendę:

Proszę pana, my Hamletów nie potrzebujemy, albo się jest z nami, albo przeciwko nam.

Od literatów owego okresu wyróżnia Guzego fakt przyznania się do wstydu:

To była wredna książka. Pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelnika utwierdzała poczucie bezradności, nieodwracalności systemu, szkodliwa książka, która w podstępny sposób mówiła, że inaczej już nie będzie, nie może być i z tym się należy pogodzić.

Jego twórczość poza Polską była próbą oczyszczenia. W „Zwidach na wysokościach” wyśmiał kult Stalina wśród pisarzy, którzy *przed siedzącym tam na wysokościach największym zbrodniarzem wszystkich czasów* wyciągają błagalnie swoje manuskrypty.

Macki polskiej bezpieki sięgały aż do Anglii i w „Requiem dla pani Tosi”, każą zaszczonej kobiecie popełnić samobójstwo.

Mimo, że przed wojną także uczęszczałem do tego samego gimnazjum co Guzy, trzy lata różnicy wieku sprawiły, że nie znaliśmy się. Na domiar złego, w 1937 roku byliśmy na tej samej wycieczce do Wilna i Pińska. Stoimy na wspólnym zdjęciu pod Ostrą Bramą w Wilnie. Pamiętamy te same wydarzenia, jak np jezioro Horodyszcze koło Pińska. Spotkaliśmy się dopiero w 2005 roku w Toronto, dwaj Opolanie gnani po świecie. Dzięki poczcie, a szczególnie internetowi poznaliśmy się bliżej i zainteresowali własną twórczością literacką.

Miałem wielką satysfakcję, kiedy Guzy wybrał się do Polski i w Tarnowskich Górach w 1999 miał swój wieczór autorski w historycznej sali nad restauracją Sedlaczka. Impreza była bardzo udana, publiczność dopisała, pojawiła się telewizja z Katowic, wyszły reportaże.



Piotr Guzy podczas spotkania
autorskiego w Tarnowskich
Górach, w czerwcu 2017 ,. fot.
Pola Vesper.

Gratulowałem Guzemu sukcesu i zachęcałem do ściślejszych kontaktów z czytelnikami, ale on skromnie zasłaniał się zbyt małym dorobkiem pisarskim składającym się z czterech powieści i kilku opowiadań. Ponieważ „Krótki życiorys bohatera

pozytywnego” i „Stan wyjątkowy” ukazały się u Giedroycia w Paryżu i tylko pojedyncze egzemplarze dotarły do Polski, a „Requiem dla pani Tosi” w Londynie, jedynie „Zwidy” wyszły w Polsce w 1994 roku w niskim nakładzie, faktycznie więc w Polsce Guzy pozostaje autorem nieznanym.

Zamiast domagać się ich publikacji, Guzy tłumaczy, że żaden wydawca się nie znajdzie, bo nikogo już sprawy w nich poruszane nie interesują, jako że mówią o doświadczeniach innych ludzi, którzy przeszli przez gehennę i też nie chcą już o niej czytać.

Ale można na tę sytuację spojrzeć inaczej. Minęło już dużo lat od powrotu literatury emigracji niepodległościowej do ojczyzny. Najwięksi doczekali się triumfalnego ingresu, ale o wielu innych wygodnie zapomniano. Czyżby poloniści i krytycy nie mieli obowiązku badania całej literackiej podaży i rzetelnego oceniania jej? Na jednych jest więc przyzwolenie i aplauz, innych się ignoruje czy wręcz przemilcza. Na bezstronnego krytyka nie mogą liczyć. Jak to się dzieje, że nie pojawia się wcale nazwisko Piotra Guzego, że w bibliotekach nie ma jego książek, nikt nie wydaje jego prozy? Sądzę, że region tak bogaty jak Śląsk, do którego ciągną ludzie z całej Polski, powinno stać na zafundowanie swoim pisarzom, wydawnictwa Biblioteka Autorów Śląskich, by mogły się w nim ukazywać książki Guzego, a także Pawła Łyska z Istebnej i innych pisarzy, nie mogące

wrócić z obczyzny po tylu latach. To wstyd za śląskich polonistów, redaktorów, wydawców, krytyków i bibliotekarzy.

A tymczasem nasz ziomek czeka i pisze. Sytuacja polityczna i społeczna ojczyzny nim wstrząsnęła .

Ja myślę, że trzeba będzie przeczekać jedno pokolenie, cała ta scheda po komunizmie musi zniknąć, musi umrzeć, do polityki muszą wejść nowi ludzie, jeszcze nie znarowieni.



Piotr Guzy wraz z Marceliną Janisz, która napisała doktorat o

jego twórczości i wygłosiła
referat podczas spotkania w
Tarnowskich Górach, w czerwcu
2017 r.

Biada nad losem języka polskiego, który się zmienia, by nadążyć za degrengoladą społeczeństwa. Dziwuje się nad znieczuleniem sumienia, kiedy mówi się o dyrektorach i wojewodach, którzy „wyprowadzają” pieniądze z przedsiębiorstw, więc kradną, robią „przekręty”. Nie ma nikogo, ktoby nazwał zło złem, tzw. elity są na zastraszająco niskim poziomie moralnym. Nie bardzo widzi drogi wyjścia, bo państwo zostało tak zbudowane, że zostawiło miejsce na korupcję.

Nazywa siebie jednak „niechętnym optymistą”.

I ten optymizm sprawił, że doczekał miłej niespodzianki. W Opolu udało mu się samemu wydać cztery ważne powieści i tom opowiadań. A skończywszy 95 lat w czerwcu 2017 roku odważył się z Hiszpanii polecieć do Polski. Tam był w Tarnowskich Górach entuzjastycznie przyjmowany i w bibliotece miejskiej wysłuchał wykładu dr Marceliny Janisz, autorki jemu poświęconej pracy doktorskiej, a potem dyskusję poprowadził poeta Andrzej Kanclerz.

O swojej wyprawie pisał optymistycznie:

Mam nadzieję, że po tym wypadzie w moje ojczyście strony, będę miał niczym nie zakłócony spokój i będę mógł się zabrać do pisania.

Galeria

Spotkanie z Piotrem Guzycm w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach, 22 czerwca 2017 r.



Od lewej: Agnieszka Rudawska – Dyrektor MBP, Piotr Guzy i prowadzący Andrzej Kanclerz, fot. Pola Vesper.



Od lewej: Piotr Guzy, prowadzący poeta Andrzej Kanclerz oraz Marcelina Janisz.





Fotografie, autorstwa Poli Vesper, pochodzą ze strony Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach.

„Faust” Gounoda w Operze Wrocławskiej: Brawurowy finał artystycznego sezonu.

Korespondencja z Polski

Barbara Lekarczyk-Cisek

Najnowsze widowisko Opery Wrocławskiej: „Faust” Charlesa Gounoda wieńczy sezon artystyczny zespołu pod nową dyрекcją Marcina Nałęcz-Niesiołowskiego w

prawdziwie wielkim stylu.



Eric Fennell (Faust, tenor), fot. Opera Wrocławska.

Tym razem dyrektor zaprosił do współpracy **Beatę Redo-Dobber** – artystkę wszechstronną, która przygotowała znakomity spektakl operowy, będąc jego reżyserką, jak też scenografem, autorką projekcji multimedialnych, kostiumów i choreografii... A jakby tego było mało – również osobą prowadzącą chóry. Jest to zatem spektakl w pełnym tego słowa znaczeniu autorski, spójny, o wyrazistym przesłaniu.

Wcześniejsze interpretacje „Fausta” Beaty Redo-Dobber

Należałoby podkreślić, że ta interesująca i dojrzała interpretacja ukształtowała się pod wpływem wcześniejszych prac autorki nad „Faustem”. Wcześniej Beata Redo-Dobber wystąpiła w roli dramaturga przy „Fauście” Gounoda, wyreżyserowanym przez Roberta Wilsona w Teatrze Wielkim w Warszawie (2008). Po nim był „Faust” z muzyką księcia Antoniego Henryka Radziwiłła, wystawiony na zamku w Wojanowie, w sierpniu 2012 roku. Wspaniałe plenerowe widowisko odbyło się przed Pałacem Wojanów, a wśród artystów pojawiły się sławy zarówno polskiej, jak i niemieckiej wokalistyki operowej, m.in. Mark Adler (tenor) z Berlina i urodzona w Lipsku Tatiana Hempel-Gierlach (sopran). Robert Gierlach (bas baryton), laureat międzynarodowych konkursów wokalnych w Vercelli i w Las Palmas oraz tenor Tomasz Krzysica, posiadający szeroki repertuar oratoryjno-kantatowy. Wydarzenie uświetniła Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Dolnośląskiej oraz Chór z Darmstadt pod batutą, jakże by inaczej, Marcina Nałęcza-Niesiołowskiego.



„Faust”, inscenizacja w Pałacu Wojanów, fot. Sebastian Martinez.



„Faust”, inscenizacja w Pałacu Wojanów, fot. Sebastian Martinez.

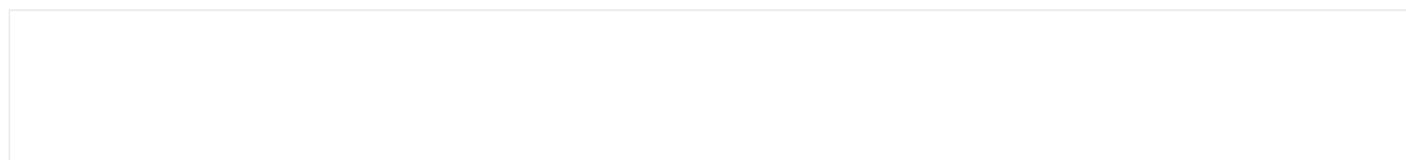
W tym „Fauście” – wspomina w wywiadzie udzielonym Małgorzacie Piwowar z „Rzeczpospolitej” Beata Redo-Dobber – było prawie tyle samo tekstu mówionego, co śpiewanego, więc wymyśliłam, że każda z głównych postaci – Faust, Mefisto i Małgorzata – ma swoje alter ego w postaci tancerzy. Występowali aktorzy Wrocławskiego Teatru Pantomimy oraz Teatr Akt – poruszający się na szczudłach akrobaci.

Tamten „Faust”, którego miałam szczęście oglądać i słuchać, uderzał przede wszystkim urodą plastyczną i pięknem muzycznego wykonawstwa. Widowisko wyróżniało się również udziałem akrobatów, wspaniałymi kostiumami oraz przemyślanym ruchem scenicznym. Tytułowy bohater, rozpięty pomiędzy dobrem a złem, tęsknił za pięknem i duchowością uosobioną w postaciach białych i błękitnych aniołów, wykonujących majestatyczny taniec. A jednak uległ złu, które w tym spektaklu uosabiały czerwono-czarne postaci diabłów.

Księżę Antoni Radziwiłł stworzył pierwszą muzyczną adaptację „Fausta”

Niewielu wie, że **opera księcia Antoniego Radziwiłła jest pierwszą na świecie muzyczną adaptacją dzieła Johanna**

Wolfganga Goethego. Wybitny niemiecki poeta pisał „Fausta” w Pałacu w Ciszycy, należącym do jego przyjaciela, również pisarza, Antoniego Henryka księcia Radziwiłła, który – również tam – skomponował muzykę do opery „Faust”. O pozycji księcia w świecie muzyki może świadczyć także fakt, że wybitne postacie na czele z Beethovenem, Mendelssohnem i Chopinem dedykowały mu swoje utwory. W czasie pobytu w Weimarze książę osobiście zaprezentował Goethemu fragmenty partytury swojej opery.



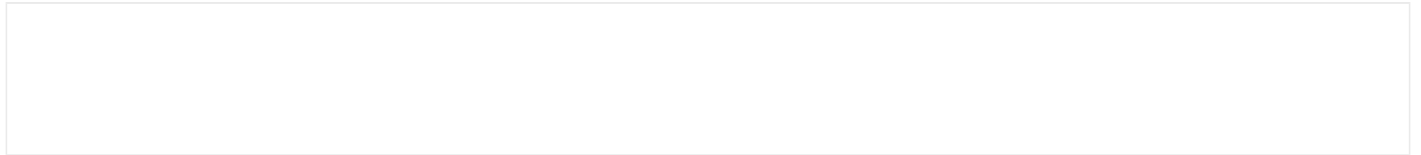
„Faust” - opowieść o świecie współczesnym

Stworzona przez Beatę Redo-Dobber interpretacja „Fausta” Gounoda powstawała zatem latami, a na jego obecny kształt miała także wpływ potężna przestrzeń Hali Stulecia. Najważniejsza jednak stała się idea potraktowania opery jako współczesnej opowieści o świecie. Próba, dodajmy, ze wszech miar udana.

Osadzam historię w Europie żyjącej zagrożeniami, zaskakującymi codziennie doniesieniami – powiedziała we wspomnianym wywiadzie reżyserka. Oczywiście główni bohaterowie mają swoją historię, znaną z Goethego, która jest zawsze aktualna, bo ludzie

od pokoleń marzą, by zatrzymać młodość i radość życia. Akcja jednak nie będzie działać tak, jak zapisał to Goethe.

„Faust” Gounoda jest prawdziwym arcydziełem niemieckiego romantyzmu. Zawiera wiele pięknych arii, a już walc czy marsz stanowią nieomal samoistne przeboje. Wrocławska wersja nie tylko punktuje te wszystkie smaczki, ale też ukazuje je jako integralną część operowej narracji. Zmiany dostrzeżemy już na początku.



Pierwsze skrzypce gra Mefistofeles

W akcie I, zamiast pracowni Fausta, widzimy ulicę, zaś na licznych ekranach pojawiają się obrazy, które widzimy codziennie w telewizji: wojny, terroryzm, ludzkie dramaty. Wszystko to zapowiada postać Mefistofelesa, który w centrum sceny Teatrum Mundi gra – dosłownie i w przenośni – pierwsze skrzypce. Jego dominacja nie wróży niczego dobrego, a jednak w ostatniej scenie dramatu to on jest wielkim przegranym, który przyznaje, że Małgorzata będzie zbawiona dzięki swej głębokiej wierze w Boże miłosierdzie.

Wszystko, co się dzieje „pomiędzy”, właściwie znamy z dramatu

Goethego oraz z libretta Julesa Barbiera i Michela Carré, a jednak Beata Redo-Dobber zmieniła akcenty, a częściowo także samo libretto. Jej doktor Faust jest współczesnym człowiekiem, posługującym się laptopem i wierzącym (do czasu), że wszystko można zmierzyć i zbadać. Ostatecznie jednak zrozumie, że poniósł klęskę, a radosne śpiewy młodych doprowadzają go do wściekłości, której daje wyraz, wygrażając im bronią palną. Myśli o samobójstwie, ale zmienia zdanie. Smutny i sfrustrowany, przeklina wszystko, także Boga i wzywa szatana. Pragnie od niego młodości, aby używać życia i zmysłowych przyjemności. Wprawdzie waha się jeszcze przed podpisaniem paktu, ale wówczas Mefistofeles ukazuje mu piękną Małgorzatę, przekonując go ostatecznie, aby porzucił lęk i sięgnął po pełnię życia.



Jako wojsko studenci Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych im, gen. T. Kościuszki we Wrocławiu, fot. Opera Wrocławska.

W akcie II na scenę wrocławskiej inscenizacji „Fausta” wkraczą w zwartym szyku autentyczni żołnierze – studenci Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych im. Gen. T. Kościuszki we Wrocławiu, przydając spektaklowi realizmu. Wraz z nimi pojawia się brat Małgorzaty, Walenty, który właśnie

wyrusza na wojnę. Wierzy, że przed śmiercią ocali go otrzymany od siostry medalion, ją zaś zostawia pod opieką zakochanego w niej Siebela i powierza Bogu, intonując podniosłą pieśń: *Avant de quitter ces lieux*. Kiedy żołnierze świętują, pojawia się Mefisto, śpiewając pieśń o zupełnie innej wymowie – o złotym cielcu, który jest prawdziwym obiektem ludzkich pragnień, nie zaś wzniosłe ideały.

Na balu u szatana – śpiewa – *cielec jest zwycięzcą i Bogiem*. Podczas balu u szatana dochodzi do konfliktu między Mefistofelem a Walentym, który pokonuje złe moce za pomocą potęgi krzyża. Ma jeszcze mocną wiarę, ale kiedy ją utraci, straci także życie, a przed śmiercią potępi siostrę. Na razie jednak triumfuje i wyrusza na wojnę, pełen wzniosłych myśli. Tymczasem pojawia się Faust i kurtuazyjnie komplementuje Małgorzatę, proponując odprowadzenie do domu. Ta jednak stanowczo odmawia, choć – jak się wkrótce okaże – ulega urokowi młodzieńca. Faust, któremu do tej pory Małgorzata podobała się przede wszystkim fizycznie, zachwyca się jej skromnością i uświadamia sobie, że jest zakochany: *Niech będzie pochwalone domostwo skrywające czystą duszę* – śpiewa w pięknej arii przed domem ukochanej (*Quel trouble inconnu-Salut, demeure chaste et pure*).



Katarzyna Mackiewicz (Małgorzata, sopran) i Eric Fennell (Faust, tenor), fot. Opera Wroclawska.



Katarzyna Mackiewicz (Małgorzata, sopran) oraz Walenty, fot. Opera Wroclawska

Małgorzata tymczasem otwiera skrzynię przyniesioną przez Mefista i stroi się w piękne szaty oraz klejnoty – pragnie się podobać ukochanemu. W takim momencie pojawia się u niej zaniechana przez męża sąsiadka. Ten zabawny epizod, w którym Mefistofeles gotów jest uwieść rzekomą wdowę, byle tylko Faust mógł wykorzystać sam na sam z Małgorzatą, wprowadza do opery elementy komiczne. Zaniechana kobieta – jak sugeruje ta scena – gotowa jest zaakceptować nawet diabła, byleby nie być sama. Tymczasem Faust ma skrupuły i gotów jest wycofać się, na co jednak szatan nie pozwala i kiedy Małgorzata wzywa ukochanego, ułatwia Faustowi wejście do jej sypialni. Sceny miłosne ukazują, że Małgorzata najpierw nie dowierza i

boi się, błagając, by Faust nie łamał jej serca, a jednocześnie wyznaje mu miłość, deklarując, iż gotowa jest za niego umrzeć.

Akt IV przynosi potępienie Małgorzaty. Scena rozgrywa się w katedrze, dokąd nieszczęsna, porzucona kobieta przychodzi się pomodlić. Patrzą na nią zewsząd potępiające spojrzenia ubranych na czarno osób, jest odpychana, opluwana i poniżana. W centrum owego „kościółka międzyludzkiego”, jakby powiedział Gombrowicz, stoi Mefistofeles, który dodatkowo dręczy Małgorzatę obrazami piekła i potępienia. Ta jednak czuje, że głos, który do niej przemawia, nie należy do Boga i prosi, aby Pan zesłał jej swój Boski promień, po czym mdleje (piękna, dramatyczna aria: *Seigneur, daignez permettre*).

Tymczasem powraca z wojny Walenty, brat Małgorzaty, a widząc ją w ciąży, odrzuca święty medalik i pragnie zabić Fausta w pojedynku. Staje się jednak odwrotnie: wspomagany przez szatana kochanek siostry pozbawia go życia w nierównej walce. Umierając, Walenty przeklina Małgorzatę, choć ta błaga go o wybaczenie.



Noc Walpurgii, fot. Opera Wroclawska.



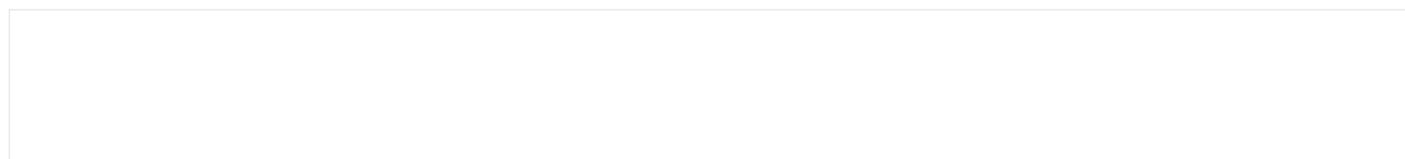
Noc Walpurgii, fot. Opera Wrocławska.

W akcie V Mefistofeles pragnie, by Faust zapomniał o tym, co się stało, toteż zabiera go w góry Harzu – na Noc Walpurgii. Scena ta we wrocławskim przedstawieniu również zawiera współczesne nawiązania, bo oto na balu – oprócz królowych i kurtyzan – pojawiają się ubrani we współczesne biznesowe uniformy kobiety i mężczyźni z aktówkami. Balet przypomina seksualną orgię, kiedy zdejmują oni swoje biurowe stroje, pod którymi kryją się skąpe czerwone *dessue*. Faust przyłącza się do bachanaliów, ale w pewnym momencie przypomina sobie o Małgorzacie i każe się do niej zaprowadzić.

Kolejna scena rozgrywa się w więzieniu, gdzie bohaterka

oczekuje na wyrok śmierci za zabicie nowo narodzonego dziecka. Na widok Fausta, który z pomocą Mefista przybył ją uwolnić, zaczyna przypominać utracone szczęście, sprawia jednak wrażenie, jakby nie do końca wierzyła w to, co dzieje się naprawdę. A kiedy słyszy ponaglenia złego ducha, kategorycznie odmawia wzięcia udziału w ucieczce. To największa próba dla niej, nie traci jednak wiary i zawiera swoje życie Bogu. Powierzywszy swoją duszę niebiosom (*Anges purs, anges radieux*), zostaje jednak zbawiona, co oznajmia sam Mefisto. Jej postawa przynosi także zbawienie Faustowi – oboje wędrują ku niebu.

Kończąc operę w taki sposób reżyserka pozostaje wierna przesłaniu „Fausta” Goethego, w myśl którego „wieczna kobiecość pociąga nas wzwyż” (*Das Ewig-Weibliche zieht uns hinan*).



Walory wrocławskiego widowiska

Miałam okazję obejrzeć „Fausta” w Hali Stulecia dwukrotnie, w obu obsadach. Obaj wykonawcy roli Mefistofelesa dysponowali głębokim mocnym basem, okazali się również dobrymi aktorami, choć rola gruzińskiego śpiewaka, **Niki Guliashvili**, była bardziej

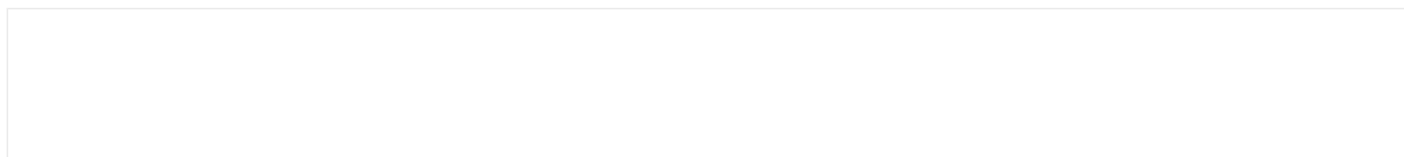
widowiskowa, zaś słoweński bas, **Peter Martinčič**, starał się być nade wszystko dramatyczny i groźny. Podobnie różniły się od siebie Małgorzaty. **Katarzyna Mackiewicz** dysponowała przepięknym dramatycznym sopranem, który przemawiał do serca, szczególnie w drugiej części widowiska. Inaczej zagrała też postać bohaterki w scenie śmierci jej brata, kiedy to przytula go jak matka, tworząc figurę piety, co dużo mówi o jej wewnętrznej dojrzałości, jako postaci. Małgorzata **Iwony Sochy** jest bardziej dziewczęca i dziecinna, a jej sopran, choć brzmiał przepięknie, zwłaszcza w ariach miłosnych, nie miał w sobie takiego głębokiego dramatyzmu, jak w przypadku Katarzyny Mackiewicz. Jako Faust bardziej przemówił do mnie swoją interpretacją francuski tenor **Sebastien Gueze**, może dlatego, że pewniej czuł się w swoim ojczystym języku, niż amerykański tenor liryczny, **Eric Fennell**. Jako Walenty ogromnie podobał mi się **Stanisław Kuflyuk** - nie tylko ze względu na wspaniały baryton, ale również dlatego, że był aktorsko bardziej wiarygodny.



Scena finałowa, Iwona Socha
(Małgorzata) i Sebastien Gueze
(Faust), fot. Opera Wrocławska.

Na pochwałę zasługuje także koncepcja scenograficzna: zarówno ciekawe projekcje multimedialne, jak na przykład katedra z wszechobecnymi oczami, przypominającymi prace plastyczne schizofreników (Małgorzata zaczyna pogrążyć się w samotności i czuje się osaczona), wielofunkcyjna scena obrotowa (wielka klepsydra czasu, dom Małgorzaty, jej sypialnia, bar w scenie balu u szatana, tron podczas Nocy Walpurgii, schody do Nieba itd.). Znakomita była również choreografia Jacka Tyskiego, zwłaszcza w scenie Nocy Walpurgii. No i wspaniałe poprowadzone chóry, które w koncepcji Beaty Redo-Dobber, zostały idealnie wkomponowane w całość spektaklu, stanowiąc jego wielki atut. Muzycznie panował nad wszystkim znakomity dyrygent, **Marcin Nałęcz-Niesiołowski**. W przypadku tak wielkich widowisk łatwo spłyść dzieło, a jednak tak się w tym przypadku nie stało. Przeciwnie, otrzymaliśmy w prezencie na koniec bardzo udanego sezonu wspaniałe, mądre i piękne oraz spójne artystycznie widowisko. Brawo!

Premiera opery „Faust” Charlesa Gounoda w reżyserii Beaty Redo-Dobber oraz pod batutą Marcina Nałęcza-Niesiołowskiego odbyła się 23 i 24 czerwca 2017 roku we wrocławskiej Hali Stulecia.



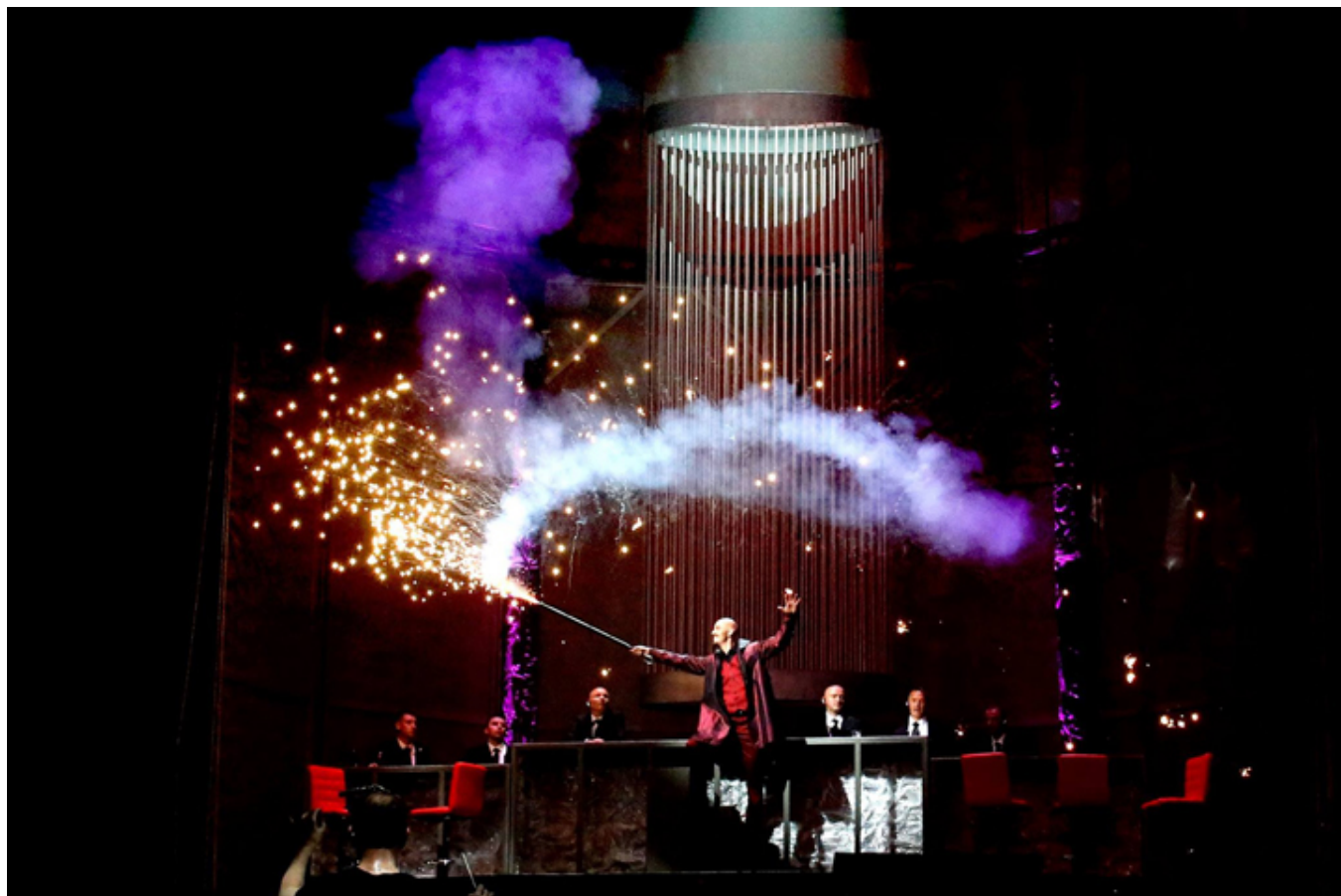
Galeria



Eric Fennel w scenie Nocy Walpurgii, fot. Opera Wrocławska.



Nika Guliasvili (Mefistofeles, bas), fot. Opera Wroclawska.



Peter Martinčič jako Mefistofeles, fot. Opera Wrocławska.



Iwona Socha jako Małgorzata i Sebastien Gueze jako Faust, fot. Opera Wroclawska.



Iwona Socha jako Małgorzata, fot. Opera Wroclawska.

Koncert ELECTRIC LIGHT ORCHESTRA

w Polsce, w Dolinie Charlotty. Support – The Bootels. 12 lipca 2017 r.

Dolina Charlotty to duży obszar rekreacyjno-wypoczynkowy znajdujący się obok wsi Gałęzinowo nad jeziorem Zamełowskim, niedaleko Słupska, blisko nadmorskich plaż w okolicach Ustki. Od 2007 roku odbywają się tu wielkie rockowe festiwale, na które przyjeżdżają gwiazdy światowych scen. W tym roku w Dolinie Charlotty odbędzie się już 11 Festiwal Legend Rocka, a bohaterem będzie zespół The Orchestra starring former members of Electric Light Orchestra.



THE ORCHESTRA starring former members of **ELECTRIC LIGHT** **ORCHESTRA**

Od 17 lat The ORCHESTRA koncertuje na całym świecie grając porywające wersje niezapomnianych przebojów wylansowanych przez Electric Light Orchestra. Założyciel zespołu wokalista i gitarzysta Jeff Lynne rozwiązał ELO w 1986 r. Wtedy też jego partner, perkusista Bev Bevan powołał do życia ELO Part II, które po jego odejściu w 1999 r. przybrało ze względów prawnych nazwę THE ORCHESTRA.

Grupa ELO sprzedała ponad 50 mln płyt na całym świecie, miała 20 przebojów na liście Top 20 w Anglii i 15 hitów Top 20 na liście magazynu Billboard w USA.

„Can’t Get It Out of My Head”, „Evil Woman”, „Strange Magic”, „Livin’ Thing”, „Telephone Line”, „Rockaria!” „Turn to Stone”, „Sweet Talkin’ Woman”, „Mr. Blue Sky” „Shine a Little Love”,

„Last Train to London”, „Confusion” oraz największy hit ELO czyli „Don’t Bring Me Down” to podstawa koncertowego repertuaru THE ORCHESTRA. Wszystkie te ulubione przeboje będzie można wreszcie usłyszeć po raz pierwszy w Polsce w oryginalnej wersji w Charlottcie.

W skład zespołu wchodzi:

Mik Kaminski - członek ELO i ELO Part II grający na słynnych skrzypcach „Blue Violin”

Louis Clark - członek ELO i ELO Part II uchodzący za mistrza orkiestrowych instrumentów klawiszowych

Eric Troyer - członek ELO Part II, wokół, instrumenty klawiszowe, gitara

Parthenon Huxley - członek ELO Part II, gitara, wokół

Gordon Townsend - członek ELO Part II, perkusja

Glen Burtnik - członek ELO Part II, wokół, bas



Jako support 12 lipca zagra zespół The Bootels

Zespół powstał w 2005 r. w Łodzi. Grupa została stworzona przez gitarzystę Piotra Jełowickiego, basistę Zbyszka Frankowskiego, perkusistę Andrzeja Żukiewicza oraz gitarzystę Wiktora Daraszkiewicza. Impulsem była miłość do muzyki Beatlesów. Dlatego członkowie The Bootels porozumieli się błyskawicznie i zaczęli grać piosenki słynnej czwórki. Grać tak, aby zachować ich ducha, ale jednocześnie dodać coś od siebie i sprawić, żeby mające po kilkadziesiąt lat utwory, brzmiały

współcześnie. Bootelsi przearanżowali je w mistrzowski sposób: pozostawili m.in. charakterystyczne harmonie wokalne, ale dodali sporo gitarowego zgiełku i metalowej mocy. Sięgnęli po znakomite instrumenty i wzmacniacze z lat 60. i 70., ale korzystają też z nowinek technicznych. Połączenie feelingu i czadu, tradycji i nowoczesności dało w ich wykonaniu świetne efekty. Od pierwszych taktów słyszeć w tych nagraniach style Beatlesów i... Bootelsów. Łodzianie zmierzyli się z legendą chłopców z Liverpoolu, bo jak twierdzą, twórczość Johna, Paula, Georga i Ringo jest wieczna. Trzeba jednak dodać, że The Bootels to już także legenda. Legenda muzyków, którzy tworzyli historię polskiego rocka, a teraz spotkali się w łódzkiej supergrupie. Ich biografiami można by obdzielić kilka kapel. Grający na gitarze basowej i śpiewający Zbigniew Frankowski w latach 60. grał w zespołach: Bardowie, Cykady, Śliwki i Vox Gentis (w duecie z Markiem Jackowskim, później liderem Maanam). Sukces osiągnął z grupą Quorum śpiewając piosenkę „Ach co to był za ślub” (I miejsce na festiwalu w Opolu 1970). Później występował w zespole Anawa z Markiem Grechutą, a następnie z Andrzejem Zauchą. Od 1974 r. akompaniował Maryli Rodowicz (m.in. „Kolorowe jarmarki” i „Remedium”).

Obecny skład zespołu to: Zbigniew Frankowski (gitara basowa, wokal), Andrzej Żukiewicz (Perkusja, wokal), Piotr Jełowicki (gitara, wokal), Zbigniew Danielewicz (klawisze, wokal). Debiut sceniczny tego składu odbył się 23 października 2009 w

Filharmonii Łódzkiej.

Zespół The Bootels jest posiadaczem certyfikatu wydanego przez właścicieli klubu The Cavern, potwierdzającego wysoki poziom w reprezentowaniu muzyki beatlesowskiej na świecie.

Culture Avenue przygotowuje rozmowę z założycielem The Bootels – Piotrem Jełowickim.



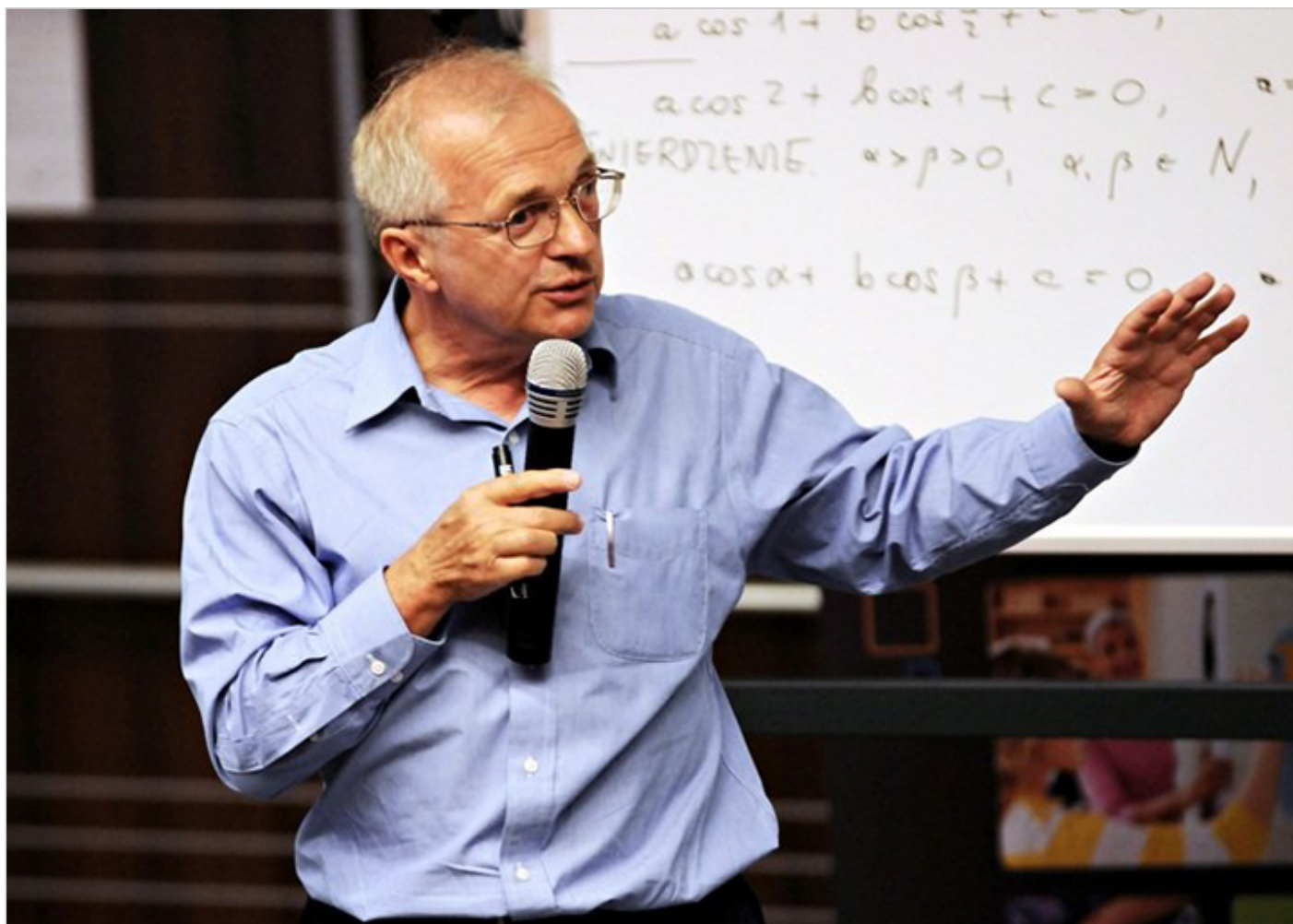
<https://www.youtube.com/watch?v=Kx-gYXsTTHM>

Źródło:

<http://www.legendyrocka.com/the-orchestra-starring-former-members-of-electric-light-orchestra>

Matematyka to moja miłość!

Rozmowa z HENRYKIEM IWAŃCEM, profesorem matematyki na Rutgers University w stanie New Jersey w USA, laureatem „matematycznego Nobla”, czyli prestiżowej nagrody The Shaw Prize 2015, którą otrzymał 24 września 2015 roku w Hongkongu za swoją działalność naukową.



Henryk Iwaniec, fot. portEl.pl

Janusz Szlechta: Pytać matematyka to trudna sprawa, a pytać mądrze to już prawdziwa sztuka. W takim razie zapytam Pana o coś banalnego, w myśl zasady, że nie ma głupich pytań: czy dostał Pan kiedyś w szkole dwóję z matematyki, ale nie za to, że zapomniał Pan zeszytu lub odrobić pracę domową, bo to każdemu może się zdarzyć, ale za źle rozwiązane zadanie?

Henryk Iwaniec: W szkole podstawowej, w której uczyłem się w Elblągu, a skończyłem ją w roku 1961, nie interesowałem się matematyką. Nie przypominam sobie nic takiego, co dotyczyłoby tego pytania. Potem kontynuowałem naukę, razem z bratem bliźniakiem Tadeuszem, w technikum mechanicznym, też w Elblągu. Wówczas obaj zainteresowaliśmy się matematyką. Najpierw uczestniczyliśmy w szkolnych zawodach matematycznych, potem w tych na wyższym szczeblu, już w Gdańsku. Na Politechnice Gdańskiej działało kółko matematyczne i szkoła wysyłała nas raz w miesiącu na te zajęcia.

Kiedy byliśmy w trzeciej klasie, zaczęliśmy brać udział w olimpiadach matematycznych. No i od razu zaczęliśmy odnosić sukcesy. Naszym nauczycielem matematyki był Andrzej Wendecker – wspaniały człowiek i pedagog. Miał taki zwyczaj, że jak brał ucznia do odpowiedzi, to kładł na stole jego zeszyt. Kiedy uczeń udzielał złych odpowiedzi lub w ogóle nie potrafił odpowiedzieć, stopniowo przesunął zeszyt ku brzegowi stołu, aż do momentu, kiedy spadł na podłogę. Wówczas wiadomo było, że uczeń otrzymywał dwóję! Wyglądało to dosyć kolorowo i dramatycznie. O ile pamiętam, mój zeszyt nigdy nie leżał na podłodze.

Po pewnym czasie nauczyciel już nic ode mnie i od brata nie wymagał, nawet prac domowych nie musieliśmy odrabiać. Jak była klasówka, to prosił nas, abysmy wyszli z sali i nie

przeszkadzali kolegom. Wszyscy to rozumieli po naszych sukcesach na olimpiadach. Mieliśmy wtedy czas na to, aby odrabiać pracę domową z innego przedmiotu czy też przygotować się na następną lekcję, na przykład z języka polskiego. Praktycznie więc przestaliśmy brać udział w lekcjach matematyki. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek otrzymał dwóję z matematyki.

JSz: Jest Pan absolwentem technikum mechanicznego w Elblągu. Chciałbym się upewnić, czy to właśnie wtedy narodziła się w Panu miłość do matematyki?

HI: Tak. O Einsteinie i jego teorii względności dowiedzieliśmy się z bratem jeszcze w podstawówce z Encyklopedii Powszechnej – zafascynowało nas to, ale oczywiście nic z tego wówczas nie rozumieliśmy. Po sukcesach na olimpiadach matematycznych zaczęła w nas kiełkować fascynacja, a potem – jak to pan określił – miłość do matematyki. U nas w domu nie było tradycji naukowych, matematyka jawiła się jako coś abstrakcyjnego, nieosiągalnego, więc gdyby nie nauka w technikum i olimpiady, to na pewno nie zostalibyśmy matematykami.

Muszę jednak podkreślić, że rodzice, a szczególnie mama, stwarzali nam świetną atmosferę do nauki, zachęcali i okazywali wiarę w nas. W szkole już niewiele mogliśmy się nauczyć, więc tak naprawdę zaczęliśmy studiować matematykę na własną rękę.

Poznaliśmy dzięki temu piękno rozumowania teoretycznego i abstrakcyjnych pojęć. W pewnym momencie zgłębiłem pojęcie funkcji ciągłej. Potem przyswoiłem sobie ogólną definicję ciągłości, gdzie nie wymaga się pojęcia metryki czy dystansu między punktami – obowiązuje tu zasada algebry zbiorów otwartych oraz zamkniętych i tworzonych na nich funkcji. Zafascynowała mnie wówczas potęga umysłu ludzkiego, że można zdefiniować takie pojęcie jak ciągłość, nie używając w ogóle metryki, tylko teorii zbiorów. Dobrze się stało, że przyszło to we właściwej kolejności: najpierw bowiem nauczyłem się klasycznej definicji ciągłości i porządnie to opanowałem, a potem dostrzegłem piękno w abstrakcji. To przychodzi samo i dobrze, że tak się dzieje. Dzisiaj mówię do moich studentów: samo słuchanie wykładów to jest za mało, to trzeba przeżyć samemu, zagłębić się w to, zafascynować.

JSz: Pana brat bliźniak, Tadeusz, też jest dzisiaj znanym i cenionym matematykiem w USA. Czy wspólnie zdecydowaliście, że matematyka to jest to, co dla was jest najlepsze? Czy spieraliście się w przeszłości, gdy przychodziło wam rozwiązywać matematyczne problemy?

HI: Uczyliśmy się w technikum mechanicznym, więc logika by nakazywała, abyśmy podjęli studia techniczne i zostali inżynierami. Rodzice chcieli, abyśmy podjęli studia na politechnice, bo tam zdobywa się dobry zawód. Ale nasze

sukcesy na olimpiadach matematycznych oraz to, że matematyka nami zafascynowała, sprawiły, że wybór studiów i naszej przyszłości był właściwie przesądzony.

Nigdy z bratem nie miałem „matematycznych potyczek”, czyli nie było takiej sytuacji – nic takiego nie pamiętam – abyśmy się sprzeczcali nad zadaniami czy problemami, które przyszło nam rozwiązać. Natomiast chętnie dyskutowaliśmy, zadawaliśmy sobie nawzajem pytania i próbowaliśmy znaleźć odpowiedź.

JSz: Czy to oznacza, że nie rozmawialiście na przykład o dziewczynach, tylko o matematyce?

HI: No nie, aż tak źle nie było. Rozmawialiśmy o wszystkich naszych codziennych problemach. Zdarzało się nam też, że chodziliśmy na fajne imprezki. Bardzo mi się spodobało, jak ktoś z Elbląga napisał o nas na swoim portalu: „Fajne chłopaki byli”.

W klasie było sympatycznie, lubiliśmy się. Wielu naszych kolegów odnosiło sukcesy w różnych dziedzinach, a niektórzy byli nawet świetnymi polonistami. Edward Łuczyński jest teraz profesorem polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim. Inny kolega pasjonował się malarstwem, bez przerwy opowiadał nam o kubizmie. Waldek Ryś był świetnym łyżwiarzem szybkim. Potem trenował swoją siostrę Erwinę, która zdobyła wielokrotnie mistrzostwo Polski, była medalistką mistrzostw Europy i świata.

Adam Giersz miał sukcesy w tenisie stołowym, kilka lat temu był ministrem sportu. W naszej klasie nie było konkutowania, zazdrości, a raczej wzajemnie się dopingowaliśmy i podkrećali.

JSz: Widziałem zdjęć, na którym Pan i brat gracie na gitarach. To było chwilowe zauroczenie muzyką, czy coś poważniejszego?

HI: W pewnym momencie zapisałem się do kółka muzycznego, interesowałem się też malarstwem i elektrotechniką. Warunków fizycznych dla uprawianiu sportu nie miałem, ale raz udało mi się skoczyć w dal ponad 5 metrów. Podczas zajęć w kółku muzycznym nauczyłem się czytać nuty, a potem z bratem grywaliśmy sobie od czasu do czasu, ale zupełnie po amatorsku. To była fajna zabawa, odskocznia od codziennego zagonienia, bo zajęć w szkole mieliśmy sporo i trzeba było naprawdę dużo czasu poświęcać na naukę. Bardzo lubię muzykę, ale nie mam talentu muzycznego. Gitara do dziś leży w pokoju, spoglądam na nią od czasu do czasu, ale od dawna nie gram. Brat grał o wiele dłużej i lepiej, muzyka w pewnym momencie go pochłonięła. Grał nawet etiudy Heitora Villa-Lobosa, co oznacza, że osiągnął naprawdę przyzwoity poziom.

JSz: Razem z bratem skończył Pan studia matematyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Potem przyszedł czas na doktorat, habilitację... Jak wyglądało to Pana wspinanie się po drabinie naukowej?

HI: Miałem to szczęście, że po pierwszym roku studiów uczestniczyłem w wykładach prof. Andrzeja Schinzla w Instytucie Matematycznym Polskiej Akademii Nauk. To znakomity naukowiec, który wywarł na mnie wielki, bardzo pozytywny wpływ. Na uniwersytecie poznałem Kasię, która studiowała ze mną na jednym roku; zaraz po studiach pobraliśmy się.

Na IV roku miałem już oddane do druku dwie prace naukowe. Wydział Matematyki UW otworzył mi przewód doktorski, właśnie na podstawie tych dwóch prac. W Polsce byłby to ewenement, swoisty „Raising Star”, gdybym obronił doktorat przed uzyskaniem magisterium. Według przepisów, jest to możliwe, ale trzeba mieć odpowiednie kwalifikacje, musi być też ktoś, kto promuje takiego człowieka. Ostatecznie nie doszło do tego z banalnego powodu – musiałem zdać egzamin z filozofii marksistowskiej.

Mieliśmy kurs filozofii marksistowskiej na wydziale, ale wymagania odnośnie doktoratu były inne. Udałem się do prof. Władysława Krajewskiego, aby umówić się z nim na ten egzamin. Przekazałem mu list od Rady Wydziału. Po jego przeczytaniu zapytał mnie, czy chodziłem na wykłady. Odpowiedziałem, że... nie. A on na to: „Hm, to będzie trudno”. Był dla mnie bardzo życzliwy. Powiedział, że da mi materiały do przeczytania, a potem przyjdę na egzamin, kiedy uznam, że jestem gotowy, a on

będzie mnie pytał z tych właśnie materiałów. Dał mi kilka książek i broszur do przeczytania.

Po sześciu miesiącach, kiedy już obroniłem pracę magisterską i podjąłem pracę w Instytucie Matematyki PAN, postanowiłem pójść na ten egzamin. „Przejrzałem te materiały” – powiedziałem skromnie. Nie czułem się mocny w tej filozofii. Profesor najpierw zadał mi pytanie, co to jest solipsyzm. Coś tam mu odpowiedziałem, bo kiedyś czytałem na ten temat. Potem zapytał, czy lubię fizykę. Odpowiedziałem, że tak. „No to co to jest zasada nieoznaczoności Heisenberga?” – zapytał. Oczywiście odpowiedziałem starając się utrzymać ten temat egzaminu jak najdłużej. Chyba wyczuł moje intencje, bo wtedy stwierdził: „Wie pan, jednak to musi być egzamin z filozofii marksistowskiej, muszę panu zadać pytania z tej dziedziny”. Zapytał mnie, jaka jest różnica między materializmem a empiriokrytycyzmem według Plechanowa i... wysiadłem kompletnie. Wtedy profesor zapytał: „Czy to będzie fair, jak uśrednię panu ocenę za te trzy pytania?”. No i zdałem. Dzięki temu w marcu 1972 roku obroniłem doktorat, czyli 8 miesięcy po uzyskaniu magisterium.

JSz: Czym wówczas się Pan zajmował jako pracownik Instytutu Matematycznego Polskiej Akademii Nauk?

HI: Analityczną teorią liczb, bo to była moja specjalizacja. Zacząłem się w tym specjalizować już na drugim roku studiów.

Profesor Schinzel, który nie pracuje w tej dziedzinie, ale ma dużą wiedzę, dał mi wolną rękę. Widział, że nie potrzebuję żadnej pomocy. Habilitację zrobiłem w roku 1976, cztery lata po doktoracie. Nie było to jakieś szalone tempo, ale nie ma co ukrywać, że wspinałem się po tej drabinie dużo szybciej niż moi koledzy. Brat Tadeusz też szybko zrobił doktorat. Moja żona Kasia obroniła doktorat parę lat po mnie.

To, co robiłem, znalazło szybko oddźwięk za granicą. Miało to znacznie większy wpływ na moją biografię niż terminy, w których to się wydarzyło. Najpierw wyjechałem do Wielkiej Brytanii, aby prowadzić odczyty w Nottingham, Cambridge i w Cardiff. Bardzo słabo mówiłem wówczas po angielsku, bo w technikum uczyłem się tylko rosyjskiego.

Szybko zrozumiałem, że bez angielskiego nie mam żadnych szans na sukces międzynarodowy. Zacząłem więc uczestniczyć w wielu bardzo intensywnych kursach języka angielskiego. Nie mam, niestety, zdolności do języków. Miałem nawet „dziurę” w pracy naukowej, bo absolutnie poświęciłem się nauce angielskiego. W roku akademickim 1976/77 pojechałem do Scuola Normale Superiore di Pisa we Włoszech na stypendium Accademii Nazionale dei Lincei. Co ciekawe, to nie języka włoskiego tam się nauczyłem, lecz poprawiłem swój angielski, bo współpracowałem z Kanadyjczykiem Johnem Friedlanderem, z którym spędzałem większość czasu. To mi bardzo pomogło, bo rozmawiałem z nim

wyłącznie po angielsku. Pobyt we Włoszech otworzył mi okno na świat. Do dziś John, który jest profesorem na Uniwersytecie w Toronto, jest moim głównym współpracownikiem i bliskim przyjacielem.

JSz: Zaczął się Pan otwierać na świat, ale i świat stanął przed Panem otworem. Kiedy i dlaczego wyjechał Pan do Stanów Zjednoczonych?

HI: To nie nastąpiło tak szybko. Najpierw pojeździłem trochę po Europie. W Instytucie Matematycznym PAN nie było obowiązku uczenia studentów, więc łatwiej było wyjechać gdziekolwiek, jeśli był powód. Należy jednak pamiętać, że w czasach PRL-u bardzo trudno było zdobyć papiery upoważniające do wyjazdu. Byłem w Szwecji, Holandii, Finlandii, Niemczech, Związku Radzieckim, wiele razy we Francji i w Anglii. Prowadziłem seminaria i wykłady na konferencjach naukowych. W 1979 roku zostałem zaproszony do Bordeaux, gdzie przez rok prowadziłem wykłady dla doktorantów. Francuskiego troszeczkę złapałem, ale tak naprawdę trudno było mi się porozumiewać w tym języku. Był to jednak dla mnie duży przełom zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym. Złapałem bliski kontakt z matematykami francuskimi w mojej dziedzinie badań, co zaowocowało potem długą współpracą. Francuzi docenili moją pracę i 10 lat temu otrzymałem nawet tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Bordeaux.

Do Stanów Zjednoczonych wyjechaliśmy we wrześniu 1983 roku. Nie miałem wówczas żadnych ukrytych planów, aby zostać w tym kraju na stałe. Otrzymałem bardzo prestiżowe zaproszenie na rok do Instytutu Badań Zaawansowanych w Princeton. Amerykanie uruchomili specjalny program matematyczny z mojej dziedziny i właśnie mnie zaproszono do realizacji tego programu, jako że już byłem osobą dosyć dobrze znaną w świecie matematycznym. Był to decydujący argument dla mojego szefostwa w PAN, aby mnie puścić. Uznano, że jest to zaproszenie równoznaczne z tym, jakby polską primadonnę zaproszono do Metropolitan Opera w Nowym Jorku.

Tuż przed wyjazdem do USA, wiosną 1983 roku, zostałem promowany na profesora. W Belwederze uścisnął mi dłoń prof. Henryk Jabłoński, ówczesny przewodniczący Rady Państwa. Rodzina czekała na mnie za płotem, bo nie pozwolili im wejść do środka. W tym samym roku, też przed wyjazdem, zostałem członkiem korespondencyjnym Polskiej Akademii Nauk.

Do Stanów przyjechałem z żoną i dwiema córkami: Ania miała 5 lat, a Irenka - 10. Po roku chciałem wracać do Polski, ale dostałem kolejne zaproszenie z Michigan University w Ann Arbor. Pracował tam już mój brat Tadeusz, który wcześniej otrzymał zaproszenie z tego uniwersytetu. Nie było w tym żadnych kombinacji, żadnej konspiracji, to był zupełny przypadek. W Michigan pracowałem tylko przez jeden semestr

letni i chciałem wracać do Polski. Wówczas doszliśmy z żoną do wniosku, że może by jednak troszkę dłużej zostać w Stanach ze względu na dzieci.

Pozwoliło nam zostać kolejne zaproszenie na jeden semestr, które otrzymałem z Uniwersytetu Kolorado w Boulder. Otrzymałem tytuł „Ulam Distinguish Visiting Professor”. Prof. Stanisław Ulam z Polski, który pracował na Uniwersytecie w Boulder, to znakomita postać. Był przedstawicielem lwowskiej szkoły matematycznej, a potem współtwórcą amerykańskiej bomby termojądrowej. Niestety, zmarł kilka miesięcy przed moim przyjazdem do Boulder.

Praca na Uniwersytecie Kolorado to był dla mnie i dla mojej rodziny piękny czas. Wówczas zacząłem myśleć zdecydowanie o powrocie do Polski. Tym bardziej że zaczął się o mnie dopominać Instytut Matematyczny PAN w Warszawie. Domagali się, abym wracał.

W tym czasie otrzymałem jednak kolejne zaproszenie – tym razem z Uniwersytetu w Teksasie. Napisałem list, że chętnie podejmę u nich pracę w jednym semestrze – wiosną 1985 roku. Następnego dnia, po wysłaniu tego listu, otrzymałem zaproszenie z Institute for Advanced Study w Princeton na 3 lata – czyli z tego samego Instytutu, w którym podjąłem pierwszą pracę w USA. Po namyśle stwierdziłem, że nie jadę do Teksasu,

tylko do Princeton. Nie było wówczas internetu, więc zadzwoniłem do Teksasu i poprosiłem, aby zniszczyli mój list przed otwarciem, kiedy go otrzymają. I udało się. Zacząłem negocjować z Warszawą, aby wyrazili zgodę na mój dalszy pobyt w USA, co było naprawdę trudne. Musiałem aplikować o zwolnienie z pracy w IMPAN. Ostatecznie wylądowaliśmy znowu w Princeton. Tutaj zapuściliśmy korzenie. Dzieci uczyły się w amerykańskich szkołach, a ja miałem wyśmienite warunki do pracy.

JSz: Pana żona jest doktorem matematyki... Czym ona zajmowała się w tym czasie?

HI: Kasia nie miała jeszcze wówczas pozwolenia na pracę w USA, więc zajmowała się domem i dziećmi – tak ustaliliśmy i to było najlepsze rozwiązanie. Nie musiała pracować. Później odkryła w sobie talent artystyczny, gdzieś tam zagubiony, i zaczęła malować obrazy. I robi to świetnie.

JSz: Kiedy zaczęliście dojrzewać do tego, że jednak zostanieie na stałe w Stanach Zjednoczonych?

HI: Dojrzeliliśmy jesienią 1986 roku. I wtedy tak naprawdę zaczęła się nasza emigracja.

Byłem już znany, stąd też miałem różne propozycje – chcieli mnie

na przykład zatrudnić na Stanford University w Kalifornii. Ale przebił wszystkich wiceprezydent Rutgers University w New Brunswick, NJ, który zaprosił mnie na spotkanie. Od razu zaproponował mi stanowisko New Jersey State Professor. W całym stanie było tylko 8 takich stanowisk. Nie musiałem więc wspinać się po żadnych drabinach. Wiem, że Polaków w Stanach traktuje się gorzej niż Niemców, Francuzów, Anglików czy Rosjan, mimo że jesteśmy często lepsi, bardziej potrzebni. Według mnie jest to taki amerykański syndrom. Tymczasem ja, Polak, zostałem potraktowany tak, jak należy, czyli z szacunkiem i uznaniem. Nikt nie kwestionował moich dyplomów i kompetencji. To mi zaimponowało.

W styczniu 1987 roku podjąłem już stałą pracę jako profesor Rutgers University. Otrzymałem też znakomite warunki i wynagrodzenie. Myślę, że nikt by nie odrzucił takiej oferty.

Prof. Andrzej Schinzel, który musiał dla PAN napisać raport na temat mojej rezygnacji z pracy w Polsce, napisał dosłownie: „Henryk wyjechał w 1983 roku do Stanów Zjednoczonych i... już nie wrócił”. Ja mu odpowiedziałem wówczas: „Andrzej, godzina odlotu z lotniska Okęcie nie jest dla mnie datą wyemigrowania z Polski. Moja emigracja zaczęła się wówczas, kiedy zdecydowałem, że chcę być w Stanach”. Taka jest prawda. Bo ja nie chcę mieć zanotowane w papierach, że okłamywałem instytucję, w której zacząłem swoją naukową karierę – nigdy tak

nie było. Dbam bowiem o niuanse dotyczące mojego życia i pracy. Ja czuję się absolutnie Polakiem i to się nie zmieni. Dzisiaj fizyczna obecność w danym miejscu już nie jest tak istotna, liczy się to, co masz w sercu.



Henryk Iwaniec, fot. Janusz Szlechta.

JSz: W domu rozmawialiście z dziećmi po polsku?

HI: Oczywiście, bo nasz dom jest polskim domem.

JSz: A jak dzisiaj córki przyjadą – to już w końcu dojrzałe

kobiety, które mają amerykańskich mężów i dzieci – też rozmawiacie po polsku?

HI: Tak, bo tu nic się nie zmieniło. Irenka mówi bardzo dobrze po polsku, a Ania rozumie po polsku i w tym języku do niej mówię, chociaż woli odpowiadać po angielsku. Nie dziwię się, w końcu miała tylko 5 lat, gdy wyjechaliśmy z Polski, i cały czas ma do czynienia z Amerykanami. Kiedy zauważyliśmy w pewnym momencie, że traci kontakt z językiem polskim, wysłaliśmy ją na jeden semestr do szkoły w Polsce. Nie było to łatwe, długo przekonywaliśmy pryncypała High School w West Windsor, aby wyraził na to zgodę. Nie miał pojęcia o Polsce – czy to jest rzeka, czy kraj; twierdził, że Ania niczego tam się nie nauczy. Zapytałem go wówczas, czy wie, dlaczego ja dzisiaj jestem w USA. Zaniemówił i... wyraził zgodę. I dzięki temu, że Ania była kilka miesięcy w Warszawie, zachowała język polski i zdobyła dodatkową wiedzę na temat Polski i Europy. Była bardzo dobrą uczennicą. Potem skończyła studia inżynierskie w CALTECH w Pasadenie. Irenka skończyła studia artystyczne na Cooper Union w Nowym Jorku. Ania szybko zrobiła doktorat z inżynierii medycznej, teraz ma tytuł profesora i prowadzi wykłady w Kalifornii. Ma trójkę dzieci. Nie ukrywam, że jesteśmy z nich dumni.

JSz: Dla wszystkich emigrantów język jest sporym problemem. Mówił Pan wcześniej o swoich problemach, ale proszę

powiedzieć, jak szybko poradził Pan sobie z opanowaniem zawodowego języka angielskiego i czy Pana zdolności matematyczne były tu pomocne?

HI: Ubolewam nad tym, ale nie mam talentu do języków. Uparłem się jednak, dużo się uczyłem... Jak przyjechałem do USA, to już dobrze mówiłem po angielsku i nie miałem żadnych problemów z tym językiem. Oczywiście, mam wyraźny akcent, ale to mi nie przeszkadza w niczym.

JSz: Co było większym dla Pana problemem na początku pobytu w USA: kariera zawodowa czy proza życia, czyli to wszystko, co dotyczy spraw codziennych?

HI: Jak patrzę na kolegów czy ludzi z młodszej generacji i widzę, z jakimi problemami się borykają, jakie bariery muszą pokonywać, to z ulgą sobie myślę, że ja czegoś takiego nie przeżywałem. Stawiałem pierwsze kroki w Ameryce w Institute for Advanced Study w Princeton w stanie New Jersey, który ma ogromną renomę, jest świetnie zorganizowany. Nie musiałem budować swojej kariery w Stanach – dla mnie to była kontynuacja, a nie budowanie kariery. Nigdy też nie musiałem starać się o pracę – nie znam tego pojęcia. Pamiętam rozmowy z córkami, jak one musiały od początku uczyć się, a potem szukać tutaj miejsca dla siebie. Im o tyle było łatwiej, że wychowały się w Ameryce i naturalnie były przygotowane do takiego startu.

Oczywiście, nie byłem wolny od problemów dnia codziennego, martwiłem się, jak wszystko się ułoży. Z troską spoglądałem na dzieciaki i razem z żoną robiliśmy wszystko, aby im się powiodło w życiu.

JSz: Czy możliwe jest, aby w auli pełnej chińskich studentów, mając do dyspozycji tylko kredę i tablicę, poprowadzić interesujący wykład z matematyki tak, aby wszyscy go zrozumieli? Czy matematyka jest na tyle uniwersalnym językiem, że przełamuje bariery międzykulturowe?

HI: Odpowiedź jest bardzo prosta: tak! Matematyka jest językiem uniwersalnym. Chińczyk, Japończyk czy ktoś z Mozambiku bez problemu ją zrozumie. Oczywiście pod warunkiem, że zna matematykę. Jest to tylko kwestia poziomu słuchaczy. O tym, że Chińczycy znają matematykę i lubią ją, najlepiej świadczy fakt, że mamy na uniwersytetach amerykańskich wielu studentów z Chin. W Chinach byłem trzy razy, a czwarty raz pojechałem do Hongkongu odebrać nagrodę. Lubię tych studentów, bo traktują mnie jako ważnego nauczyciela, są wdzięczni za naukę – w odróżnieniu od niektórych studentów z innych krajów.

JSz: Czy współcześnie istnieją szkoły matematyczne, podobne do tych z początku XX wieku – chociażby słynnej szkoły lwowskiej? Jeśli tak, to czy podział wynika z geografii, granic

administracyjnych, czy może raczej ze sposobu myślenia, filozofii, uwarunkowań kulturowych?

HI: Moim zdaniem jest to raczej kwestia tradycji. Słynna polska szkoła matematyczna w okresie międzywojennym, a lwowska w szczególności, wyrosła na tym, że powstała nowa dziedzina matematyki – analiza funkcjonalna – i jako nowa dziedzina otworzyła się na wiele problemów, niedotkniętych jeszcze przez innych, co pozwoliło zabłysnąć polskim matematykom. To nie jest – moim zdaniem – możliwe, jeśli w danym ośrodku nie ma tradycji. Oczywiście, można coś nowego wymyślić i... niewiele z tego tak naprawdę wynika. Chodzi o to, aby to była trafna i potrzebna dziedzina, na przykład do rozwoju fizyki. Trzeba podkreślić, że tutaj ta polska szkoła popisała się i stworzyła coś nowego, co inni na świecie od Polaków potem przejęli. To nie byłoby jeszcze samo w sobie wystarczające gdyby nie fakt, że to się okazało fundamentalne dla rozwoju matematyki w tamtym okresie. Szkoła lwowska znakomicie prosperowała i to nie tylko w analizie funkcjonalnej, ale także w teorii zbiorów czy topologii. Wielką postacią był tu Stefan Banach, ale także Hugon Steinhaus czy Stanisław Mazur. Mógłbym o tym mówić długo, bo to jest bardzo ciekawa historia.

Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że to jest kwestia tradycji w danym ośrodku, a nie jakiejś tam przewagi jednej nacji nad drugą. W Mozambiku nie ma żadnej szkoły matematycznej tylko

dlatego, że nie ma tam nikogo, kto by ją zaczął tworzyć. Nie ma wystarczających warunków, dobrze postawionego szkolnictwa i odpowiednich nakładów. Ja pewnie też nie zostałbym matematykiem, gdyby polskie Ministerstwo Oświaty nie stworzyło olimpiady matematycznej.

W Stanach Zjednoczonych sporo wydaje się na naukę i mówi się, że potrzeba jeszcze więcej – zazwyczaj podczas kampanii wyborczych. Kiedy Rosjanie wysłali swój sputnik na orbitę wokół naszej planety i łunochod na Księżyc, w USA wybuchła panika, że Amerykanie zostają w tyle. I to podziało – zaraz zaczęto zwiększać środki na rozwój tej dziedziny. Nikt nie ma wątpliwości, że amerykańska nauka jest w czołówce na świecie – to się bierze z nakładów i zrozumienia administracji rządowej. Rząd amerykański oczywiście inwestuje, ale też jest wielu filantropów, którzy tworzą prywatne instytuty, a także wspierają finansowo najlepsze uczelnie. Facet, który handluje elektroniką, zbudował w Palo Alto w Kalifornii wielki matematyczny instytut naukowy. Wynika to ze zrozumienia, że nakłady na naukę przynoszą różnego rodzaju korzyści dla kraju i pozwalają ściągać z zagranicy świetnych naukowców. Oczywiście nie wszystko w USA jest tak do końca fajne i pozytywne – ale to już temat na inną dyskusję. W Polsce nie ma jeszcze na tyle rozwiniętego kapitalizmu, aby taka filantropia była powszechna i miała istotne znaczenie dla nauki.

JSz: Czy dzisiaj możemy więc mówić o jakiejś konkretnej szkole matematycznej?

HI: Tak... i nie. Globalizacja, nie tylko ekonomiczna, ale także i naukowa, sprawia, że te ośrodki w dawnym stylu giną. Są oczywiście silne ośrodki badawcze w jakiejś konkretnej dziedzinie, ale przede wszystkim tam, gdzie znajdują się silne osobowości i środki finansowe. Na przykład Węgrzy są znani w świecie z tego, że mają mocne ośrodki w dziedzinach matematyki dyskretnej, takich jak kombinatoryka czy teoria grafów. Jest to kontynuacja ich tradycji.

W ostatnich latach w Polsce mamy raczej „suszę”. Są oczywiście całkiem dobre uniwersytety, instytuty, ale konkurencja jest coraz większa i trudno jest znaleźć swoje szczególne miejsce. Dwa lata temu został zorganizowany kolejny wielki międzynarodowy kongres matematyczny w Korei Południowej, na który nikt z Polski nie został zaproszony do wygłoszenia odczytu. To było smutne. W ostatnich latach na arenie międzynarodowej polska matematyka jest mało widoczna, niewiele ma do powiedzenia. Nie rozdzierałbym jednak szat z tego powodu, bo zawsze i wszędzie bywają słabsze lata, tak jak w sadach owocowych.

JSz: Czy istnieje żargon matematyczny? Jeśli tak, to czy polski różni się na przykład od amerykańskiego i czy w związku z tym miał Pan trudności z komunikacją i zrozumieniem z

matematykami amerykańskimi?

HI: Istnieje oczywiście żargon, i to bardzo silny. Trudności w komunikowaniu się nie wynikają wcale z przynależności narodowej. I to nie jest problem jednego pokolenia, lecz wynika on z całego rozwoju matematyki. Na przykład istnieją terminy, które zostały stworzone kilkaset lat temu i są używane do dziś. Abyśmy mogli się porozumiewać, potrzebne jest konkretne słownictwo. Zamiast wymyślać jakieś dziwne określenia, najlepiej jest je porównać do czegoś, co istnieje już w naszym świecie. Na przykład po polsku mówi się „ciało”, a po angielsku „field” – ale to nie ma nic wspólnego z naszym ciałem, lecz z algebraiczną strukturą. Tego trzeba się po prostu nauczyć, aby móc operować w teorii i być zrozumianym podczas jej prezentacji. To tak, jak niektórzy chcieliby, aby esperanto było językiem międzynarodowym... Rzecz w tym, że jest to martwy język, a żywym językiem, najlepszym dla komunikowania się między ludźmi jest angielski.

JSz: Amerykańskie uniwersytety to specyficzne miejsce na ziemi, a wydziały matematyczne na nich to wyjątkowe miejsce we wszechświecie, ale Pan unosi się tam z łatwością. Prawie nie odczuwając „grawitacji”, szybuje Pan między jedną gwiazdą a drugą, czyli... między jedną nagrodą a drugą. Czy nie odczuwa Pan z tego powodu zazdrości wśród kolegów po fachu?

HI: Raczej nie odczuwam, bo to do mnie nie dociera. Może dlatego, że matematycy zazwyczaj nie robią interesu ze swojej działalności twórczej. A może też dlatego, że osiągnięcia matematyczne są tak bezsprzeczne, precyzyjne, że nie sposób się do nich przyczepić. Jedyna rzecz, która może budzić kontrowersje, to czy uzyskany wynik jest głęboki, ciekawy i potrzebny dla innych badań.

Oczywiście jest konkurencja, bo tego się nie uniknie. Ponadto osiągnięcie konkretnego matematyka jest często rezultatem pracy wielu innych ludzi, i to na przestrzeni lat. Jeśli ja postawię kropkę nad „i”, to głupio jest się tego czepiać. Ktoś może czuć najwyżej niedosyt, że nie on to uczynił. Myślę, że podobnie jest i w innych dziedzinach nauki.

JSz: Czy na co dzień pracuje Pan tylko z Amerykanami, czy również z naukowcami innych narodowości?

HI: Prawdę powiedziawszy to nawet nie zastanawiałem się nad tym, bo nie ma to większego znaczenia. Komunikacja komputerowa tak wszystko pozmieniała, że dzisiaj praktycznie się nie odczuwa, czy ma się do czynienia z Włochem czy Japończykiem. Głównie pracuję z Amerykanami, ale to wynika z faktu, że pracuję na amerykańskim uniwersytecie, na którym dominują. Mam kontakt osobisty z naukowcami z różnych krajów, którzy pracują na Rutgers University.

JSz: Czy trudno było Panu zaadaptować się w amerykańskim środowisku matematycznym?

HI: Nie miałem żadnych problemów. Chyba nie pomyłę się, jeśli powiem, że 60 procent wielkich naukowców pracujących na amerykańskich uniwersytetach czy w instytutach to są ludzie z zagranicy. Gdyby ci ludzie mieli problemy adaptacyjne, na pewno nie byłiby tacy dobrzy w swoich dziedzinach. Potem się słyszy, że kolejną prestiżową nagrodę otrzymał wybitny amerykański naukowiec... Przecież ja też jestem klasyfikowany jako naukowiec amerykański.

JSz: Nie pytam o szczegóły, ale czym zajmuje się Pan, jako matematyk? Czy może to zrozumieć zwykły człowiek, taki jak ja?

HI: Oczywiście. Ja zajmuję się teorią liczb. Szczególnie pasjonuje mnie teoria liczb pierwszych, czyli nierozkładalnych. Liczby pierwsze są niczym cząstki elementarne w budowie materii: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 15, 17, 19... Jedyńka nie jest liczbą pierwszą – są oczywiście tego powody. Związane są z nimi pasjonujące problemy i są to jedne z najistotniejszych problemów do dziś nierozwiązanych we współczesnej matematyce. Jeden z nich przedstawia hipoteza Riemanna. Hipoteza ta, sformułowana w 1859 roku, dotyczy badanej przez niemieckiego matematyka Bernharda Riemanna funkcji dzeta. Jest to funkcja analityczna zmiennej zespolonej. Mówi ona, że zera tej dzeta funkcji, tzw.

nietrywialne zera (nierzeczywiste), mają część rzeczywistą równą $1/2$. Ma to duży związek z rozmieszczeniem liczb pierwszych. Mamy nieskończoną ilość liczb pierwszych i jeśli chcemy zbadać ich mnogość to liczymy je do dowolnie wybranej wielkości x – i pytamy wówczas, ile ich jest. Okazuje się, że w dobrym przybliżeniu jest to x podzielone przez logarytm z x . Pytanie jest, ile ich jest naprawdę, czy otrzymamy precyzyjny wynik. Hipoteza Riemanna mówi, że błąd w asymptotycznym przybliżeniu wynosi około pierwiastek z wielkości x .

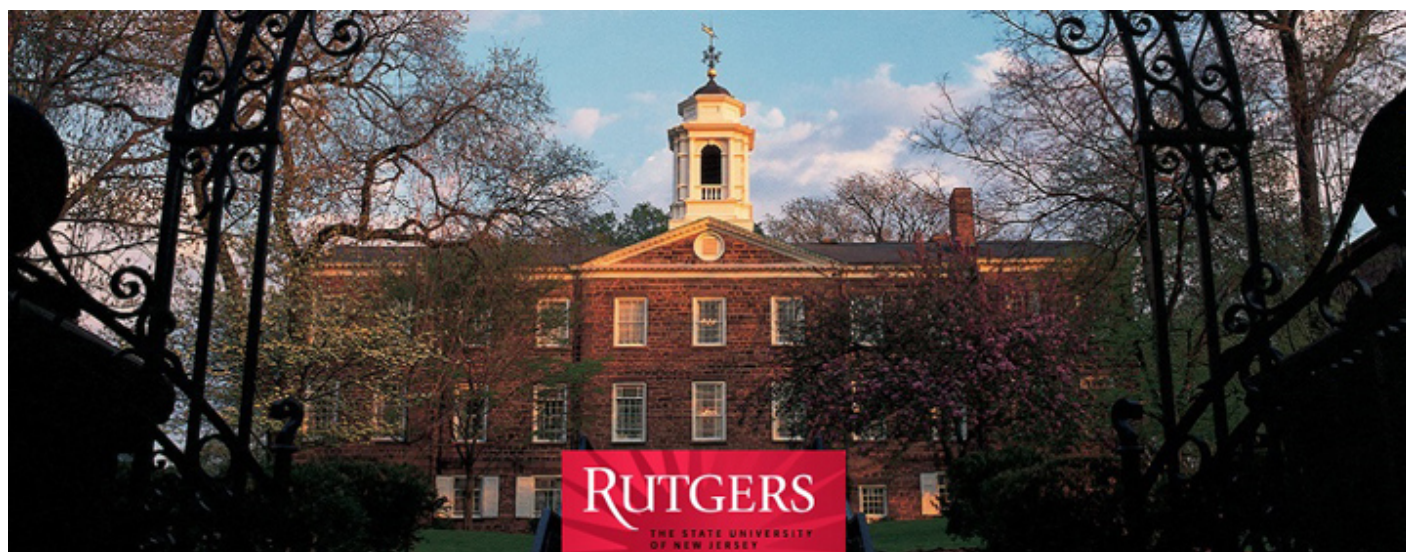
Jest to bardzo głęboka hipoteza. Każdy byłby dumny z jej udowodnienia. Problem ten ma duże znaczenie dla całej matematyki – w szczególności dla teorii liczb. Cieszę się, kiedy podczas wręczania jakiejś nagrody, podkreślane jest moje zainteresowanie teorią liczb pierwszych. Zajmuję się też teorią funkcji automorficznych, a jeszcze idąc dalej – spektralną teorią funkcji automorficznych. O tym mogę mówić raczej ze specjalistami. Mam tu różne osiągnięcia, które są już mniej uchwytnie.

JSz: Czy może Pan zatem wyjaśnić – o czym zresztą mówił pan podczas spotkania w Druch Studio Gallery w Trenton w stanie New Jersey – która liczba jest większa: $2/3$ czy $3/5$?

HI: To był żart. Wielu młodych ludzi ma problem ze zrozumieniem podstaw matematyki, mają bowiem uprzedzenia.

Słynny rosyjski matematyk Gelfand Izrail Moisiejewicz uczył studentów, jak należy podchodzić do matematyki, gdyż – oprócz badań naukowych – zajmował się również pedagogiką. Kiedyś dziennikarz zapytał go, jak on to robi, że tak skutecznie uczy. Prof. Gelfand stwierdził, że każdego można nauczyć matematyki i każdy jest w stanie ją zrozumieć, ale trzeba mieć odpowiednie podejście. I stwierdził: jak na ulicy w Moskwie zapytasz przechodnia, która liczba jest większa: $\frac{2}{3}$ czy $\frac{3}{5}$ – to wzruszy ramionami i bezradnie rozłoży ręce. Ale sprawa staje się jasna, kiedy zapytasz: czy lepiej mieć trzy butelki wódki na dwie osoby, czy pięć butelek na trzy osoby? Wówczas każdy szybko odpowie, co jest lepsze.

Matematyka jest piękna, dlatego nie bardzo rozumiem, dlaczego nie może się przebić przez wszelkie uprzedzenia w szkołach i dlaczego tak dużo młodych ludzi jej się boi. Ale tak naprawdę każdy, kto lubi myśleć – polubi matematykę.



JSz: Otrzymał Pan bardzo prestiżową w świecie naukowym nagrodę Shaw Prize 2015 za stworzenie i rozbudowanie podstawowych narzędzi w teorii liczb, które pozwoliły Panu i innym rozwiązać wiele otwartych problemów matematycznych. Niedawno stwierdził Pan: „Bawię się matematyką”. Potem Pan dodał, że to co Pan robi, tak naprawdę trudne jest do przełożenia na praktykę. Ale przecież wiemy ze źródeł naukowych, że Pańskie dokonania przekładają się jednak na konkretne zastosowania, m.in. w szeroko pojętych dziedzinach informatycznych i kryptografii. No to jak to jest naprawdę?

HI: Muszę dodać, że tak naprawdę Shaw Prize 2015 otrzymałem nie tylko za osiągnięcia w teorii liczb. W prasie wyszczególnia się jeden konkretny wynik o liczbach pierwszych, za który przyznano mi tę nagrodę, lecz tak naprawdę jest to nagroda za szersze osiągnięcia w matematyce, bo przecież nie jestem już taki młody. Bardzo sprytnie to sformułowano. Ja uważam jednak, że to jest mój „lifetime achievement”, czyli nagroda „za całokształt”.

Moje wyniki nie przekładają się w istocie bezpośrednio na przykład na kryptografię, natomiast prace w dziedzinie liczb pierwszych rzeczywiście się przekładają i to w znacznym stopniu. Najbardziej skuteczne algorytmy do kryptografii są oparte na pewnych twierdzeniach dotyczących liczb pierwszych, tylko że ja osobiście nie mam na to wpływu. Bo ja nie mam wpływu na to, jakich matematyków zatrudnia na przykład AT&T czy nowojorska

giełda i co oni robią – nie ulega jednak wątpliwości, że oni wykorzystują to, co ja osiągnąłem i udowodniłem. Ale to jest ich praca, to są ich osiągnięcia.

JSz: Kiedy Pan się dowiedział, że przyznana Panu została ta nagroda?

HI: 1 czerwca 2015 roku. Otrzymałem e-maila z Hongkongu. Często pracuję w nocy, nawet do rana. I tak samo było wówczas. W pewnym momencie kliknąłem i widzę, że jest e-mail. Przez kilka sekund zastanawiałem się, co to jest. Otworzyłem go i przeczytałem... Poczułem się radośnie zaskoczony. Całą noc już nie mogłem zmrużyć oka. Zrobiłem sobie jeszcze jedną kawę. Doczekałem do oficjalnej ceremonii, która była na żywo transmitowana. Kilka godzin później, na konferencji prasowej w Hongkongu, oficjalnie oznajmiono o przyznaniu tych nagród. Nagroda wynosi milion dolarów w każdej dziedzinie. W 2016 roku wynosiła już 1,2 miliona. W dziedzinie matematyki tym razem przyznano nagrodę dwóm osobom, tak że faktycznie dostałem pół miliona.

Kasia była wtedy w szpitalu, po tragicznym wypadku samochodowym. Zaraz do niej pojechałem – jeździłem zresztą codziennie do szpitala. Była w bardzo ciężkim stanie, stąd też miałem mieszane uczucia, czy powinienem jej mówić o nagrodzie. Z powodu jej wypadku przerwałem zresztą kontrakt w

Zurychu w Szwajcarii i przyjechałem do Princeton, aby być przy żonie.

JSz: Nagrodę otrzymał Pan w doborowym towarzystwie pięciorga znakomitych naukowców z kilku krajów. Proszę opowiedzieć, jak wyglądała cała ceremonia: gdzie się odbywała, ilu było tych, którzy was podziwiali?

HI: To jest nagroda przyznawana co roku przez The Show Price Foundation in Hong Kong. Fundację tę założył w roku 2002 Run Run Shaw – magnat filmowy i telewizyjny w Hongkongu. Zmarł dwa lata temu w wieku 107 lat. Nagroda ta określana jest często jako „Nobel Wschodu”. Przyznawana jest w trzech dziedzinach: w astronomii, nauce o życiu i medycynie (Life Science and Medicine) oraz w matematyce (Mathematical Sciences). Po raz pierwszy nagrody te zostały wręczone w roku 2004. W roku 2015 nagrodę w dziedzinie astronomii otrzymał amerykański naukowiec, mający polskie korzenie, William J. Borucki – jest on odpowiedzialny w Ames Research Center w NASA za Kepler Mission, czyli za badanie planet. W medycynie nagrodę otrzymały dwie osoby – za bakterie, które się komunikują: Bonnie L. Bassler – profesor w Department of Molecular Biology Princeton University i E. Peter Greenberg – profesor mikrobiologii The University of Washington w Seattle. W matematyce też było dwóch nagrodzonych: Gerd Faltings z Max Planck Institute for Mathematics w Bonn w Niemczech i ja.

Nasz pobyt w Hongkongu trwał cztery dni. Wręczenie nagród, czyli The Shaw Prize Award Presentation Ceremony 2015 (www.shawprize.org), odbyło się wieczorem, 24 września w Hong Kong Convention and Exhibition Centre. Dyplomy i medale wręczał mistrz ceremonii CY Leung – przewodniczący Chief Executive of the Hong Kong Special Administrative Region, czyli gubernator Hongkongu.

Po ceremonii wręczenia nagród, przy pięknych, fantastycznie udekorowanych okrągłych stołach, zasiedliśmy do kolacji. Wszyscy laureaci siedzieli przy jednym stole. Obok nas zasiadł gubernator Hongkongu. Miałem okazję kilka minut z nim porozmawiać. Opowiedział mi co nieco o historii tego fantastycznego miasta.

Na życzenie organizatorów musieliśmy przygotować dla nich wiele informacji. Jako laureat musiałem napisać autobiografię, potem drugą, pełniejszą, ze szczegółami; musiałem także przygotować „acceptance speech”. Taką mowę dziękczynną za nagrodę wygłaszał każdy nagrodzony, zaraz po otrzymaniu medalu i dyplomu, i nie mogła ona trwać dłużej niż 3 minuty. Wszystkie te informacje trzeba było posłać organizatorom dużo wcześniej.

Dzień przed ceremonią odbyła się konferencja prasowa z udziałem wszystkich laureatów. Następnego dnia, po ceremonii

wręczenia nagród, wygłosiłem wykład na Uniwersytecie w Hongkongu – każdy z laureatów miał taki obowiązek. Dzień później wygłosiłem wykład w Museum of Art and Sciences w Hongkongu, połączony z dyskusją. Było to tak zwane public forum. Musiałem opowiedzieć o sobie, a potem odpowiadałem na pytania z sali. To też należało do obowiązków laureata.

To wszystko było fantastycznie przygotowane. Byliśmy traktowani jak... prawdziwi laureaci! Podczas samej ceremonii wiedzieliśmy dokładnie, kto i kiedy ma wyjść, jak przejść po czerwonym dywanie, w którym miejscu stanąć, bo wcześniej mieliśmy próbę... Towarzyszyła nam piękna muzyka, a sala była pięknie udekorowana. Podczas oficjalnej ceremonii członkowie komisji przyznającej nagrody przedstawili laureatów. Wszystko odbywało się w świetle lamp, przed zaproszonymi gośćmi. Trudno było się nie wzruszyć.

JSz: Czy towarzyszył Panu ktoś z rodziny? Czy mieliście czas na to, aby obejrzeć Hongkong i zobaczyć coś więcej, przynajmniej kawałeczek Chin?

HI: Żona Kasia nie mogła ze mną pojechać ze względu na jej stan zdrowia, więc towarzyszyła mi młodsza córka Ania. Trochę mało czasu było na zwiedzanie samego Hongkongu, ale co nieco zobaczyliśmy. Mieszkaliśmy w luksusowym hotelu. Każdy z laureatów miał do dyspozycji samochód z kierowcą, tak że nie

martwiliśmy się o to, jak i kiedy dojechać na miejsce spotkania. Było to niesamowite przeżycie, coś takiego zdarza się raz w życiu...

JSz: Czy były reakcje polskich placówek naukowych i polskich naukowców na Pańską nagrodę?

HI: Nieliczne na początku. Muszę powiedzieć nieskromnie, że trochę mnie to zdziwiło. Otrzymałem życzenia z Instytutu Matematycznego w Warszawie. Złożył mi też życzenia mój promotor pracy doktorskiej, profesor Andrzej Schinzel. To wszystko.

Natomiast bardzo przeżywał to całe wydarzenie mój brat Tadeusz i oczywiście serdecznie mi gratulował. Jest bardzo dumny ze mnie. Tadeusz jest obecnie profesorem matematyki na Syracuse University w stanie Nowy Jork. Otrzymał wiele nagród i ma wysokie notowania. Zajmuje się zupełnie czymś innym niż ja, między innymi równaniami różniczkowymi cząstkowymi, a także geometryczną teorią funkcji. Kiedyś spotykaliśmy się bardzo często, teraz, niestety, bardzo rzadko, bo daleko od siebie mieszkamy. Ode mnie trzeba jechać samochodem do Syracuse około 6 godzin. Za to czasami do siebie dzwonimy.

JSz: Co ciekawe, pierwszy z gratulacjami dla Pana pospieszył prezydent Elbląga, wyprzedził wszystkich innych. Dlaczego

akurat on, czyżby miał w tym jakiś interes i jakieś służby, które informują go o Pana poczynaniach?

HI: To na pewno wyszło z jego serca. Kiedy opuściłem Elbląg, bo podjąłem studia w Warszawie, a potem wyjechałem do USA, rzadko bywałem w tym mieście. Dopiero od mniej więcej 10 lat te kontakty znowu się ożywiły. W roku 2006 Rada Miasta przyznała mi honorowe obywatelstwo miasta Elbląga. Nie dziwię się więc, że prezydent miasta zachwycił się tą nagrodą dla mnie. Pierwsze artykuły o mojej nagrodzie ukazały się w prasie elbląskiej. Mogę więc powiedzieć, że Elbląg się wykazał. Warszawa później.

JSz: Problemów matematycznych rozwiązał Pan – i wciąż Pan rozwiązuje – co niemiara. I co chwila dostaje Pan jakąś nagrodę. Proszę wymienić przynajmniej kilka tych, które są dla Pana najważniejsze i najcenniejsze?

HI: The Shaw Prize Award jest dla mnie niewątpliwie nagrodą najważniejszą, bo jest bardzo prestiżowa i niewiele osób ją otrzymuje. Mamy tysiące bardzo dobrych matematyków na świecie, a tylko dwóch otrzymało tę nagrodę w 2015 roku, więc mam się z czego cieszyć.

Wśród cennych nagród, jakie otrzymałem, niewątpliwie są: Medal Sierpińskiego przyznany mi w 1996 roku przez Polskie

Towarzystwo Matematyczne, The Jurzykowski Prize – nagroda przyznana mi w 1991 roku przez Alfred Jurzykowski Foundation w Nowym Jorku oraz Medal Stefana Banacha, który otrzymałem w maju 2015 roku od Polskiej Akademii Nauk, a więc przed nagrodą Shawa.

Bardzo sobie cenię nagrodę „Leroy P. Steele Prize”, którą otrzymałem w 2011 roku od American Mathematical Society za książki – monografie dla studiujących na poziomie badań naukowych, co jest wyrazem uznania nie tylko za moją pracę naukową, ale również za pracę edukacyjną. A pedagogów, którzy są bardzo dobrzy i zasługują na wyróżnienia, jest bardzo dużo. Jestem dumny z tej nagrody, bo mogę się nią pochwalić wśród studentów, że potrafię też zrozumiale redagować materiał naukowy.

W USA jestem członkiem American Academy of Arts and Sciences. A kiedy zostałem członkiem National Academy of Sciences władze Rutgers University tak były z tego faktu dumne – bo to jest prestiż i ogromne wyróżnienie – że billboard z moim nazwiskiem i zdjęciem pojawił się na stacji kolejowej w New Brunswick. Pojawiły się też artykuły o mnie w gazetach amerykańskich. No i jestem członkiem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Wielkim wyróżnieniem jest dla mnie zawsze zaproszenie na Międzynarodowy Kongres Matematyków, który odbywa się co cztery lata. Byłem zaproszony trzy razy: do

Helsinki, Madrytu i Berkeley w Kalifornii w USA.

JSz: Rozwiązanie jednego problemu matematycznego powoduje... powstanie następnego. Oznacza to, że nigdy nie osiągniemy końca, nie znajdziemy ostatecznej odpowiedzi, czyli jest Pan skazany na pracę, matematyczne myślenie, do końca życia. Taka perspektywa jest dla Pana przyjemna, pobudzająca, czy wręcz przeciwnie – przerażająca?

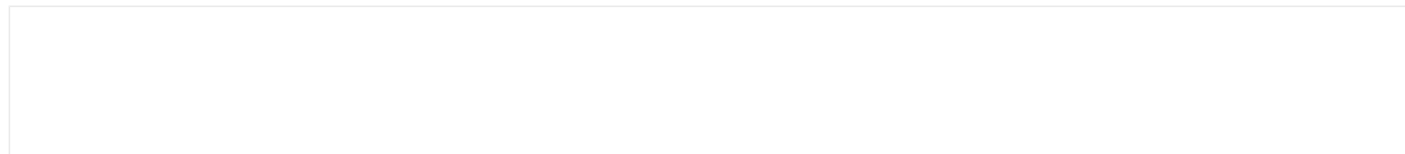
HI: To prawda. Ale ja się tym nie przejmuję, że jest tyle pracy, bo nawet gdy przejdę na emeryturę, to nie rozstanę się z matematyką.

JSz: Kiedy wybiera się Pan na emeryturę? Czy w ogóle jest możliwe dla matematyka słodkie lenistwo i w konsekwencji skończenie z myśleniem?

HI: Przejście na emeryturę jest sprawą techniczną, a przywiązanie do matematyki zostaje, trudno się z nią rozstać. Czasami jedynie marzy mi się przejście na emeryturę z powodu wygody. Odpadają bowiem liczne obowiązki na uniwersytecie, między innymi opieka i troska o warunki pracy dla studentów i prace w komisjach, a wówczas więcej czasu można poświęcić na poszukiwania i badania. Na szczęście na moim uniwersytecie nie ma obowiązku przechodzenia na emeryturę, co mnie bardzo cieszy. Jeśli nie byłbym zdolny fizycznie czy nawet umysłowo do

dalszej pracy, to wówczas nie miałbym wyboru – musiałbym zostać emerytem. Mam nadzieję, że do takiej sytuacji jednak nie dojdzie.

Princeton Junction, NJ, 31 października 2015 – 9 stycznia 2016 r.



Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



Małe marzenia

polskich artystycznych emigrantów



Felieton z Perth (Australia)

Adam Fiala

Artyści, poeci, muzycy polskiego pochodzenia na emigracji są w sytuacji Sienkiewiczowskiego Latarnika. No, z pewnymi różnicami. Latarnik miał latarnię i „Pana Tadeusza”, emigranci mają Internet, który ponoć zbliża, ale tylko wirtualnie. Ciągłe więc siedzą w wieży, tylko bez latarni. Oczywiście już teraz się nie używa modnego za Sienkiewicza słowa „obczyzna”, bo żyjemy w zglobalizowanym, a przede wszystkim etnicznym świecie. No właśnie. Etnicznym. Etnizm podobnie jak każda dziedzina ulega modzie, są lepsi etnicy i gorsi, mniej lub bardziej cenieni.

Owszem Polacy mieli swoją kartę i uznanie za czasów Wałęsy i bliskiej Solidarności. Ale i z Wałęsą obecnie coś nie tak. Nie tylko posiwał, ale też posiwały jego szczytne idee zwłaszcza osobiste. Wałęsa był atutem, a stał się poniekąd problemem. Niektórzy twierdzą, że brak mu odwagi, którą się tak dawniej szczycił. Ale nie tylko Wałęsa. Polski rząd też nie jest popularny. Rzutuje to oczywiście na ogólną sytuację Polaków, a zwłaszcza pisarzy i artystów za granicą. Na pewno nie należymy teraz do ulubionej grupy etnicznej w Australii.

Ulubionymi są oczywiście tak zwani Pierwsi Ludzie tego kontynentu czyli Aborygeni stanowiący trzy procent społeczeństwa australijskiego. Dalej widzę mieszkańców Afryki, pozytywnych Syryjczyków, którym ich Wiosna Ludów się kompletnie nie udała, zaś Polacy są obecnie jakby na samym

końcu tabelki. Stąd prośba. Polska mogłaby zwrócić trochę uwagi na ludzi twórczych, którzy paradoksalnie mieli swoją pozycję za czasów komuny. Wtedy ciągle słyszałem, że Polska liczy się kulturalnie w Europie, jeżeli nie na świecie. I nie tylko Warszawska Jesień o tym decydowała z dumą i chlubą narodu Krzysztofem Pendereckim (nawiasem mówiąc jestem słuchaczem stałym radiostacji muzyki klasycznej w Australii i słyszałem Pendereckiego tylko raz, ale owszem Chopen się bardzo sprawdza).

O czym marzą artystyczni Polacy w Australii. O pieniądzach? Nie, ponieważ życie materialne w tym kraju jest zupełnie znośne. Marzą o wizycie polskiego obrotnego dziennikarza, najlepiej obrotnej dziennikarki, która opublikowałaby o nich materiał w jednym z kolorowych pism. W kraju jest ich ponoć zatrzęsienie, a publikowane teksty nie dotyczą realnych problemów, tylko wydumanych.